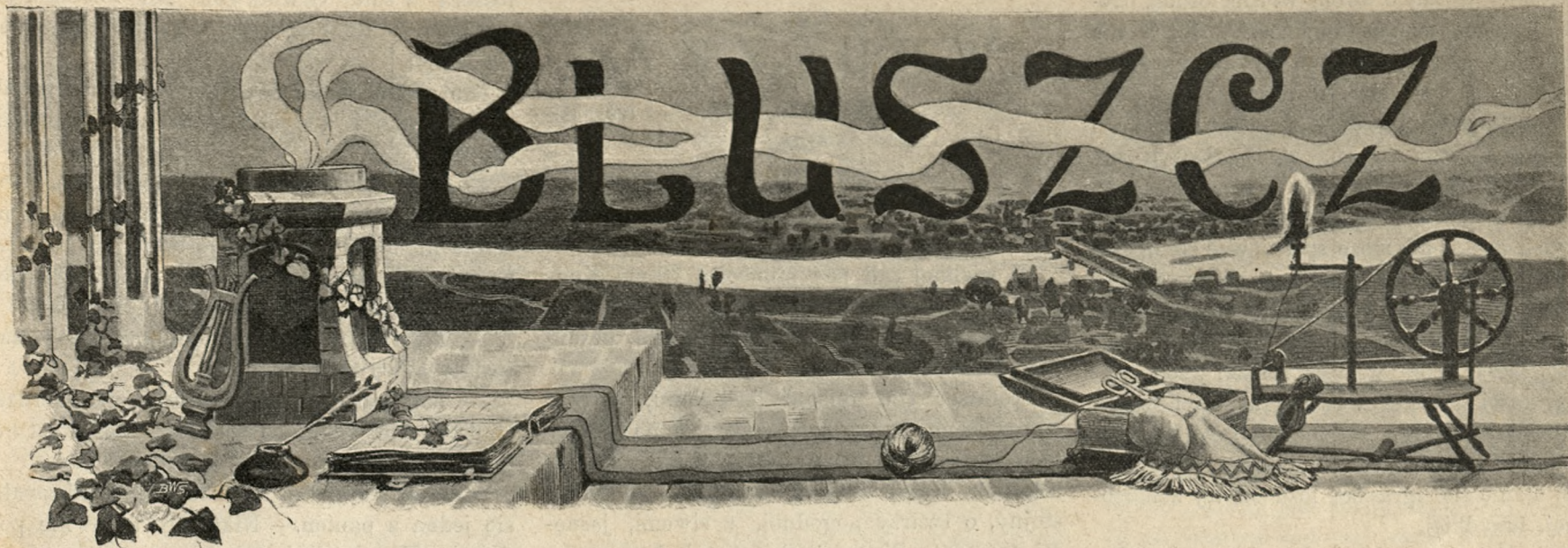




PISMO TYGODNIOWE, ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Świat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebiera i Spół. kwart. 5 marek.

Brzydkie kobiety.



Słyszałam kiedyś zdanie osoby wykształconej, obdarzonej niezwykle zmysłem spostrzegawczym, wyroczni niemal w kwestjach towarzyskich: „Brzydota robi mężczyzną interesującym, a kobietę niemożliwą, zarówno w salonie, jak i w towarzystwie.”

Tylko połowa prawdą jest w tych słowach. Ogół przynajmniej traktuje rzucającą się w oczy brzydotę, jako pewien rodzaj uchybienia własnemu zmysłowi piękna i nierzadko wydaje w tym wypadku wyrok, potępiający daną osobistość.

Moglibyśmy przeto uważać to sobie za największe nieszczęście, jeśli gracye nie pojawiły się nad naszą kolebką. Przedewszystkiem uważamy brzydotę, jako największą przeszkodę na drodze miłości, a jednak zdarzały się wypadki, że nader brzydkie kobiety umiały rozbudzać w wielkich ludziach wielkie namiętności.

Piękność nie jest tą jedyną i najpotężniejszą siłą, która kieruje losami kobiety. Brak piękności pociąga za sobą oczywiście pewne niedogodności w życiu towarzyskim, bo tu właśnie powierzchowność gra największą rolę. Nie da się również zaprzeczyć, że piękność jest w życiu rodzajem czeku, za który osiągamy pewną sumę rozkoszy życiowych, opłacanych przez zwykłego śmiertelnika, bądź to talentem, bądź duchową lub brzęczącą monetą. W wielkim, powszechnym wyścigu do celu pospolitej szczęśliwości życiowej, ci wszyscy, których natura obdarzyła pięknymi rysami twarzy lub harmonijnymi formami ciała, mają zawsze korzystne widoki. Ale, do osiągnięcia szlachetniejszego szczęścia, szczególnie, jeśli ono ma być trwałem, piękność

cielesna nie stanowi koniecznego warunku, zwłaszcza jeżeli tej piękności nie ożywia owo tchnienie duchowe, które uszlachetnia nawet najwyższą doskonałość fizyczną.

Potęga przeto piękności powierzchownej zamyka się w daleko ciaśniejszych granicach, niż te, które sobie zwykle zakreslamy. W przeciwstawieniu do piękności duchowej, wywiera ona także na losach człowieka więcej wrażeń chwilowych, przemijających, niż trwałych śladów. Uderzającym jest np., że zarówno w czasach ubiegłych, jak i współcześnie doskonale klasyczne piękności rzadko w dziejach świata wybitne odgrywały rolę. Może jedynie Piękna Helena i Kleopatra stanowiły wyjątek, ale niestety nie mamy ich autentycznych podobizn.

Któż z nas nie zrobił już nieraz spostrzeżenia, że nawet w salonie, na owej konkursowej arenie piękności, nierzadko kobiety miłe i inteligentne, cofają w cień piękności posągowe, ale zimne i bezduszne; atoli, w pewnych naturalnie okolicznościach, może piękność, choć to brzmi paradoksalnie, stanowić nawet niejaką zaporę na drodze życiowej. Mniej piękne dziewczęta dobijają często do portu małżeńskiego prędzej, niż uznane i uwielbiane piękności. Te ostatnie, nie tylko, że przywykłe są do żądania większych korzyści od życia, że urok niebezpiecznej igraszki z sercami mężczyzn — igraszki, w której wypróbowują władzę swej piękności, wstrzymuje je od wczesnych związków małżeńskich, ale i to, że polegając tylko na swych zewnętrznych zaletach, odpychają od siebie nieraz głębiej czujące natury i przez samolubstwo rujną szczęście swego życia.

Spostrzedz się daje również często, że brzydkie dziewczęta lub kobiety cieszą się w stosunkach handlowych i społecznych większą sympatją od wielu t. zw. „gwiazd.”

Estetyczne braki powierzchowności zmusza-

ją te, które się głębiej zastanawiają, do zwiększenia uprzejmości, pracowitości i wytrwałości, jednym słowem do spotęgowania etycznej piękności, aby z jej pomocą wyrównać deficyt zewnętrznych powabów. Istota żeńska, której piękna twarz stanowi niejako passe-partout życiowe, nie uważa za stosowne rozwijać swych cnót i darów duchowych, aby sobie pozyskać i otrzymać przychylność swego otoczenia. W oczach ogółu piękność fizyczna stanowi zwykle kompensatę braków duchowych. A co się tyczy aktorek... Jaką sumę pracy i talentu włożyć musi w swą rolę aktorka, grająca „charakterystyczne,” czasem ładna, a zmuszona „zrobić się” na brzydką, aby uzyskać ten sam okłask, jaki ładna wodewilistka osiąga, jednym ruchem zgrabnej nóżki?

W brzydocie, dopóki ona nie graniczy z karykaturą, można znaleźć nawet pewną korzyść w praktycznym życiu. Jak wolnemi i niazależnemi są takie kobiety i dziewczęta w porównaniu z pięknymi, wiekuiestemi niewolnicami swej powierzchowności i swoich strojów. „Czy też aby dobrze wyglądam?” — oto oś, około której kręą się wciąż jej myśli.

Piękna musi sobie wielu rzeczy odmawiać: ślizgawki przy mroźnym wietrze, mogącym spowodować zaczerwienienie noska, — spaceru w słoneczny dzień, bo można się opalić i dostać piegów, — przechadzki wieczornej dla komarów i wilgoci, — ulubionych smakolek, bo można od nich utyć i t. p. Brzydka natomiast oddaje się całej duszą sportowi, łyżwuje, wiosłuje, wspina się po górach, nie zwracając uwagi na zmiany temperatury. Ona nie potrzebuje się męczyć w ciasnych bucikach i ścisnąć gorsetem *busque droit*, a swoboda ta daje jej zdrowie, humor i niekrepowaną wesołość.

Jej zadowolenie z życia nie będzie nigdy

WNUCZKA.

NOWELLA.



„Królestwo moje nie z tego świata.“

I.

zcieśnione troską o swoją własną osobę, troską, trapiącą uznane piękności. Jeżeli ma serce na właściwym miejscu i otwarty umysł, nie będzie nigdy stawiać losowi wygórowanych wymagań i oszczędzi sobie przez to dotkliwych rozczarowań, spotykających nie rzadko jej piękne siostrzyce. To przekonanie, że musi w życiu liczyć tylko na własne duchowe „ja“, że nie może spodziewać się uprzedzającej grzeczności i pomocy od swych bliźnich, wzmacnia jej charakter, potęguje wolę i działalność. Przeciwnie, ta okrzyczana piękność, przed którą wszyscy ścieżki życia prostują, traci zwykle wewnętrzną równowagę, kiedy się przed nią poczną piętrzyć nieprzewidziane przeszkody. Ta piękna daleko łatwiej stanie się igraszką losu od tej zahartowanej, brzydkiej.

Oczywiście zdarzają się brzydoty, nie tylko cielesne, ale i duchowe, gdzie gorycz i żal do natury za jej macosze dary fizyczne wyradza w duszy zawiść i złośliwość, małoduszność i nienawiść, które niepięknym już rysom twarzy, nadają jeszcze wyraz niemiły i odpychający.

Ale między temi dwoma biegunami: odpychającej brzydoty i idealnej piękności, znajduje się jeszcze legion istot, zbliżających się bądź do tego, bądź do tamtego kresu. Jak bowiem uznane piękności miewają czasem takie chwile, w których nie stoją na swym piedestale — *moments de laideur* nazywa to Francuz, — tak znowu mamy niepozorne twarze i postacie, które przebłysk ducha i szlachetne uczucie przejściowo lub trwale idealizuje, uduchowia i uszlachetnia.

O pani de Staël mówił jeden z jej przyjaciół: „Ja wiem, że ona jest brzydką, ale ja nie widzę tego, kiedy ona mówi.“ Czy może być większy tryumf ducha i moralnej piękności nad cielesną brzydotą. Zwierciadło nie jest więc w życiu nieomylnym doradcą.

A oto inny przykład: Bohaterka poematu „W Szwajcaryi“, ideał Słowackiego i Chopina, także nie była piękną, a jednak jak wielkiem uwielbieniem potrafiła natchnąć dwóch mistrzów, słowa i tonów!... A Rosa Bonheur, a pani Dudevant? A współczesne... Pierwsza — żyjąca jeszcze po dziś dzień działaczka na polu społecznym, druga — żona wybitnego uczonego i sama wysokiej nauki kobieta, trzecia — słynna powieściopisarka, wszystkie trzy niepiękne, a jednak jakimi klejnotami serca, wiedzy i umysłu jaśnieją!

O jednej z wybitnych poetek powiedziano kiedyś: „Że kiedy poczyną mówić, to jakby promień wiosennego słońca zajaśniał nad zimowym krajobrazem.“

Przykładów takich moglibyśmy naliczyć dziesiątki. A więc każda inna brzydka kobieta może się cieszyć nadzieją, że i dla niej błysnie promień miłości i szczęścia, jeżeli swój niepozorny wygląd potrafi rozjaśnić duchowymi zaletami, które są daleko silniejszym i trwalszym magnesem od olśniewającej, ale bezdusznej piękności.

Z. N.



W wielkiej sali pod numerem 10-ym Konserwatorium Warszawskiego, przy fortepianie Bechsteina, siedziała Kara Orwidówna, uczennica profesora Hellego.

Professor stał opodal fortepianu, patrząc w rozłożone przed sobą nuty, a na twarzy jego widać było pewne zadowolenie. Był to człowiek, liczyć mogący lat blisko 50, przystojny, o twarzy pogodnej, z siwemi, jasnymi oczyma. Wyraz tych oczu był rozumny i dobry. Czoło miał wysokie, włosy jasne, przyprószone siwizną, i takąż brodę niewielką, ostro zakończoną. Głowa ta była kształtnie zbudowana, rzekłbyś, głębokiego myśliciela. Z natężonym umysłem śledził grę uczennicy, a w miarę tego na twarzy jego odbijały się kolejno różne uczucia, a więc zadowolenie nauczyciela, widzącego talent ulubionej uczennicy, pewna obawa wobec trudnych miejscami w technicznym wykonaniu ustępów, to znowu zapal artysty, wsłuchanego w przedziwną melodyę dobrze wykonanego utworu. Czasami przybliżał się do fortepianu, to znowu oddalał; niekiedy z ust jego wychodziły urywane, ostro rzucone słowa, jak np. „crescendo“, to znowu „za wiele pedału“, poczem potakująco kiwał głową, gdy uczennica w mig wykonywała życzenie ukończonego swego metra.

Grała biegle, z wielką pewnością, jak gdyby omylić się było dla niej całkiem niepodobna i tylko na twarzy jej wrażliwej, tak delikatnej, że niemal przeźroczystej, znać było pewne zmęczenie.

Ostatnie tony „Scherza“ przebrzmiały i lekceja była skończona. Professor Helle złożył nuty, a Orwidówna wstała i odetchnęła niezmiernie, jak gdyby gra ta, nie zmęczywszy jej wprawdzie fizycznie, jednak wyczerpała jej siły duchowe.

Była to panna najwyżej lat 19-tu, średniego wzrostu, o twarzy bladawej, nerwowej, ale niezmiernie inteligentnej. Jej kształtna głowa, pokryta ciemno-blond włosami, czoło wysokie, wejrzenie błękitnych oczu — wszystko to świadczyło o umyśle głębokim, wielkiej szlachetności charakteru, a zarazem pewnej wykuintności, cechującej natury wybrane. Przytem w twarzy jej widniało natchnienie i jakiś wieczny, nieświadomy przyczyny, smutek, który odbijał się w jej oczach, a który zalega niektóre dusze ludzkie.

Taką duszę smutną, pomimo pozornej niekiedy wesołości, miała Kara Orwidówna.

Nie przedstawiając typu pięknej panny, była w niej ta wyższość umysłowa, ta dystynkcyja, która pociąga i zajmuje niepospolite umysły. A przytem w przeźroczystej cerze jej twarzy, w spleceniu rąk białych, tak gładkich, że niemal atlasowych, było coś ogromnie kobiecego, stworzonego jakoby do pieśnocy.

Teraz, po skończonej lekcji, wywołano pro-

fessora z sali, Orwidówna zaś zwróciła się z rozmową do koleżanek, przysłuchujących się lekcyi.

Niebawem Helle powrócił z miną wielce zakłopotaną i zwrócił się do panien ze słowami:

— Zaszła pewna niemiła niespodzianka. Panna Bełzka oświadczyła, że na sobotnim koncercie nie będzie grała uwertury do „Oberona“, bo nie czuje się dość na siłach. Na dobitkę tego jej partner zaniemógł na rękę...

— Tego nam właśnie było potrzeba! — zawołała żywo Orwidówna.

— Tak, jest to bardzo przykro — potwierdził Helle. — Nie wiem, co zrobimy, ale uwertura graną być musi.

— Ciekawam, kto ich zastąpi? — odezwała się jedna z panien. — Nikt się tego nie podejmie. Tydzień — zbyt krótki przeciąg czasu.

Professor Helle pytający wzrok zwrócił w stronę Orwidówny.

Po jej wrażliwej twarzy przebiegł lekki rumieniec; uśmiechnęła się do Hellego, wreszcie rzekła:

— Ja się podejmę wykonać tę uwerturę...

Wyciągnął do niej rękę i rzekł:

— Bardzo będę pani wdzięcznym za to. Spodziewałem się tego po pani. Z kim pani będzie grała?

Zawahała się przez chwilę, poczem odparła:

— Z panem Niemirowiczem.

— Czy on się tego podejmie? — niedowierzająco spytał Helle.

— Musi!... — odparła krótko Kara.

Professor się uśmiechnął.

— Dziś musi to być zadecydowane. Szkoda, że pana Niemirowicza tu nie ma. A nuż nie zechce? Czy pani za niego zaręczy?

Namysliła się chwilę i śmiejąc się, rzekła:

— Ja przyrzekam w imieniu pana Niemirowicza...

Helle poczał się przekomarzać:

— Taka pani pewna swego nad nim wpływu?...

— Nie tyle wpływu, ale mam silne argumenty po swej stronie, które muszą go przekonać!

Helle zwrócił pytający wzrok na Karę.

Ona tymczasem mówiła z wielkim zapalem:

— Mnie chodzi o to, żeby nikt nie wyprzedził uczniów profesora Hellego...

Uklonił się głęboko.

— Wiem, że uwertura dobrze będzie wykonaną — przez takie siły.

Orwidówna mówiła prawdę. Kochała ona bowiem nadewszystko sławę Hellego, który kształcił istotnie najlepsze talenty i nie chciała za nic w świecie, by kto inny dokonał więcej, aniżeli jego uczniowie.

Tymczasem Helle pożegnał się i wyszedł, koleżanki zaś zwróciły się do Kary:

— Podjęłaś się pani bardzo ryzykownej sprawy... — rzekła jedna.

Kara zaś, jakby na uniewinnienie swej pewności siebie, odparła:

— Trzeba było. Żadna z pań nie chciała, a złoty nasz Helle coby powiedział, gdyby inni wykonali to, co przechodziło siły nasze? nasze, najlepszych uczennic najdoskonalszego profesora?

Mówiła z wielkim zapalem, świadczącym,

że całą duszą oddawała się tej sprawie, przez pół nie czynić nie umiała. Taką była.

Należało jak najprędzej zawiadomić pana Niemirowicza, więc pożegnawszy się z kolegami, udała się do domu.

Szła szybko, a w drodze doznała pewnego niepokoju. A nuż Niemirowicz grać nie zechce? Ale znowu przyszła jej myśl inna. Zrobi to dla Hellego, a wreszcie dla niej. Okazywał jej zawsze wiele życzliwości, to też nie zechce odmówić!

Tak rozmyślając, nie zauważyła, że naprzeciwko niej szedł młody człowiek, że wreszcie znalazłszy się o kilka kroków przed nią, zdjął kapelusz i przystanął.

— Dzień dobry pani, panno Karo, — przemówił.

— Aa, to pan!, nie mógł los w lepszą porę pana tu przysłać — rzekła, wyciągając doń rękę.

Powitali się serdecznie, jak kolledzy.

— Ma pan czas? — przemówiła znowu Kara, to wróć się pan ze mną. Mam panu coś do powiedzenia!...

— Służę pani! — rzekł, i zawrócił.

Był to człowiek lat przeszło dwudziestu, szczupły, z twarzą bladą, rozświetloną dwójgim dużych siwych oczu.

Był to Jerzy Niemirowicz.

Kara nie wiedziała zrazu, jak przemówić do kolegi, jak mu oznajmić to, że bez jego wiedzy przyrzekła, iż przyjmie współudział w koncercie; jakimi słowy wreszcie go przekonać, że grać musi, skoro tego trzeba koniecznie, aby zadowolić Hellego.

Szli więc w milczeniu czas jakiś, poczem Orwidówna zwróciła na niego swe błękitne oczy i rzekła swobodnie:

— Wie pan co? za tydzień będziemy grali uverturę do „Oberona“ na cztery ręce, na sobotnim koncercie.

Zdawał się nie rozumieć wyraźnie, więc zapytał:

— Jakto my?... chyba pani... i to z kim pani będzie grała?

— Z panem, — odrzekła z niewzruszonym spokojem.

Szli znowu czas jakiś w milczeniu, poczem on się odezwał:

— Niech pani zechce powiedzieć wyraźniej, bo ja nie z tego nie rozumiem.

Kara patrzyła mu wprost w oczy odważnie i poczęła mówić jednym tchem:

— Ot! stało się tak. Tamci grać nie będą, bo... nie wiem czemu, dość, że nie będą... a uvertura grana być musi... tymczasem tydzień tylko czasu pozostaje do ćwiczenia, więc trzeba było tamtych zastąpić... Helle na mnie patrzył tak prosząco, więc ja przyrzekłam za siebie i za pana... rozumie pan?...

Zrozumiał, o co chodzi, więc twarz jego zasępiła się niezmiernie.

— Jak pani mogła to uczynić? — rzekł ostro.

A gdy nie odpowiedziała, mówił dalej:

— Zkąd pani ta myśl przyszła?... ja grać nie mogę; pani co innego, ale mnie tych kilka dni do ćwiczenia nie wystarczą...

Ale ona mu przerwała:

— Pan musi grać i koniec!... — poczem dodała słodko: — Pan będzie grał, panie Jerzy! ja pana bardzo o to proszę...

Niemirowicz spojrzenie utkwiał w ziemię, poczem podniósł je na Karę i rzekł cicho:

— Będę, skoro pani tak chce...

Zadowolenie, nawet cicha jakaś radość błysnęła w błękitnych źrenicach Kary, ale nie odrzekła nic.

Tymczasem znaleźli się przed mieszkaniem Orwidówny.

— Pójdź pan zaraz do nas — rzekła, — jeżeli ma pan chwilę czasu, spróbujemy.

W milczeniu spełnił jej rozkaz.

Weszli na pierwsze piętro, Kara pociągnęła ostro za dzwonek; stara służąca otworzyła drzwi przedpokoju, poczem oddaliła się zaraz.

Weszli ztąd do dużego frontowego pokoju, z którego drzwi szklane prowadziły na balkon, pusty teraz i nie uczęszczany, z powodu ostrej zimy. Był to pokój duży, umeblowany wykwintnie, z drugiej strony przytykał do niego drugi, mniejszy pokój Kary Orwidówny.

Gdy weszli, w obu tych pokojach nie było nikogo, w dalszych również panowała nieczem niezmacona cisza.

Niemirowicz zapalił papierosa i poczęł przeglądać pisma, leżące na stole, podczas gdy Kara, zdjawszy pospiesznie płaszcz i kapelusz, poczęła szukać uvertury do „Oberona.“ Znalazłszy nuty, usiadła do fortepianu.

— Nie pójde po dziadka — rzekła, — gdyż zwykle o tej porze pracuje; nie chciałabym mu przeszkadzać... jeżeli pan zechce, możemy zaraz spróbować!

— Jak pani rozkaże, — rzekł Niemirowicz, i zajął miejsce obok Kary.

Z początku byli oboje bez humoru.

Ale Niemirowicz grał świetnie, to też niebawem po salonie rozległo się wspaniałe „Adagio sostenuto“, wykonane wprawdzie nie artystycznie jeszcze, ale zapowiadające się świetnie.

Twarz Kary stawała się coraz jaśniejszą, a oczy błyszczały zadowoleniem.

— A widzi pan! — mówiła z miną nadąsanego dziecka, — wiedziałam, że pójdzie doskonale!

Niebawem twarz jej rozpromieniła się zupełnie artystycznym zapalem, a Niemirowicz przybrał skruszoną minę.

Rozweselili się na dobre i w świetny wpadli humor. Wychwalali się wzajemnie, uwielbiali i cieszyli wrażeniem, jakie gra ich sprawi na sobotnim koncercie.

Tymczasem w jednym z dalszych pokoiów Marceli Orwid siedział przy dużym, staroświeckim biurku i pisał. Wnuczka nie chciała przerywać mu pracy, jednak gdy pierwsze tony uvertury rozbrzmiały w powietrzu, odłożył pióro — i słuchał.

Był to człowiek może 70-letni, o szlachetnej, charakterystycznej głowie starca, z siwymi włosami i takąż brodą, spływającą na jego piersi. Pochylony wiekiem, rzeźki był jeszcze, a oczy choć wypełzłe — patrzyły jeszcze raźnie.

Melodya „Oberona“ płynęła z salonu i dochodziła uszu Orwida, a on, nie myśląc teraz o pisaniu, całkiem pogrążył się w zadumie. I w miarę, jak słuchał, twarz jego sterana latami i zmarszczkami gęsto pokryta, rozjaśniała się, jak gdyby osiadła na niej jakaś radość jasna, przepełniająca po brzegi

jego serce. Wzrok jego spoczął na obrazie wnuczki, wiszącym nad łóżkiem, a przedstawiającym młodą dziewczynkę, może piętnasto-letnią wówczas Karę, z jasnym warkoczem, przerzuconym przez ramię, z twarzą zadumaną i smutnem wejrzeniem. Patrzył długą chwilę na wdzięczny obrazek, a potem wzrok swój jakiejś nadziei pełen, z twarzy wnuczki przenosił na niewidzialny jakiś punkt w przestrzeni. Być może, że wtedy przed wzrokiem jego wyobraźnia odsłaniała mu przyszłość wnuczki-sieroty, ale przyszłość bez cierpień, trosk i zawodów, jasną, opromienioną miłością i talentem. Myśli podobne były dla Orwida, jakby jasnymi promieniami, co padały na ostatnie lata jego życia, w którym do-tąd było więcej smutku, niż radości.

Halina Ada,

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zmrok.



....laski — któraby duszę podniosła i nad nią samą porwała ją....

Naśl. J. Ch., ks. III, r. 31.

Zciemniało już!... Spuszczam powieki,
Kędyż bez światła iść?

Duch natchnień odszedł w kraj daleki...

Wśród pustynnej tęsknoty spieki

Jam zeschły liść!

Zciemniało już!... Zasłona czarna

Na ból mój spadła — trud...

Znać praca moja była marna,

Boleść bezpłodna... kłos bez ziarna...

Nie przyjdzie cud!

Nie mnie dan będzie pokój Boży,

Ni napój — z świętych kruż!

Sieroctwem duch mój Pan zuboży,

W ciemnościach mnie na sen ułoży,

Bez świtów — zór!...

Gdy trzeba — dusza bólem wrząca

Ustąpi — z tamtych dróg!...

Lecz ty — tam idź — wciąż wzwyż — do końca,

Wśród szczęścia, sławy, ciszy — słońca,

Daj ci to Bóg!...

Bożymir.



Pamiętnik młodości Danta Alighieri'ego. *)



Ponieważ najbardziej znane i rozpowszechnione wizerunki Dantego przedstawiają go nam w podeszłym wieku, znamy więc tylko rysy poety, stanowiące odbicie pełnego trudu i trosk żywota. Z oblicza jego wieje jakaś głęboka tajemnicza powaga; wokół ostro wyciętych ust, które już dawno śmiać się za-

*) Dante Alighieri: „Nowe Życie“ („Vita nuova“). przekład Gustawa Ehrenberga. Wydanie drugie, poprawione. Warszawa, nakładem księgarni F. Hoessicka, 16-o, str. 179. Z reprodukcją medalu, przedstawiającego po-piersie poety.

pomniły, ból wyźłobił tchnące goryczą rysy, a blask posępny świeci w oczach, które oglądały nędzę ziemi i okropności piekła. A jednak niegdyś w oczach tych, płonących nieziemskim zachwytem, odzwierciedlał się obraz ukochanej, a usta tak boleśnie zacięte, umiały przemawiać słodkimi wyrazami miłości.

To samo dzieje się i z duchowym jego wizerunkiem, który zazwyczaj w potężnym majestacie rysuje się przed oczyma naszej duszy; widzimy w nim wieszczę pracowitego, namiętnego polityka, ale zapał w potężny potok twórczości, bijący z ducha poety, zapominamy o ukrytem w kwiecie źródle, z którego wypłynął, aczkolwiek głęboko jego ukrywają nie jeden kwiat tam wyrosły.

Dante znany jest przede wszystkim, jako autor „Bożkiej komedyi“ i tem się tłumaczy to jednostronne wyobrażenie sobie duchowego wizerunku poety; ażeby go dopełnić, poznać trzeba „Nowe Życie“ — pamiętnik jego młodości, spowiedź serca, poświęconą pamięci Beatryczy. Wielu mniema, że jest ona jedynie idealnym wytworem fantazyi poety, ale czy w takim razie mógłby z labiryntów allegoryi tryskać równie potężny potok czystego uczucia? Nie jedno zapewne płynie ze źródła poetyckiej fantazyi, ale na jego dnie spoczywa rzeczywiste jądro rzeczy. Sama Beatrycze istniała niewątpliwie; w „Nowem Życiu“ jest ona wytworem kochającego serca, które ją przystraja we wszystkie mistyczne skarby poetyckiego ducha i fantazyi.

Ażeby się przeświadczyć o prawdziwości tego twierdzenia, należy tylko przeczytać się w „Nowe Życie“, w którym Dante opowiada dzieje młodzieńczej swej miłości. Aczkolwiek te jego wyznania obejmują piętnastoletni przeciąg czasu, nie znajdujemy w nich jednak najmniejszego szczegółu, któryby z temi dziejami jego serca nie miał związku; poeta nie wspomina tam nawet o ukochanej matce swojej, Belli degli Alighieri, z przyjaciół wymienia tylko tego, któremu pracę swą poświęcił, a mianowicie uczonego rycerza, Guidona Cavalcantiego, wielbiciela uroczej Primavera, przyjaciółki Beatryczy, który w parę lat potem zmarł na wygnaniu. Poeta nie nam również nie mówi ani o swych studiach naukowych, którym się z takim zapalem oddawał we Florencyi, Padwie i Bolonii, i które nie pozwoliły mu zatonać w czczem marzycielstwie, ani też o swoim zamiłowaniu sztuk pięknych; raz tylko opowiada, jak w rocznicę zgonu Beatryczy zajął się rysowaniem anielskich postaci.

Dowiadujemy się za to dokładnie, co go skłoniło do pierwszej próby poetyckiej, a następnie do zupełnego poświęcenia się poezyi. Była to gorąca, żywiołowa, a szukająca wyrazu namiętność, którą starał się ukryć przed światem, a której w wezbranem sercu zawrzeć nie umiał. Na szczególniejszą uwagę zasługują jego dowodzenia, dlaczego o sprawach miłości tylko w ojczywym języku pisać należy, uważa jeszcze za konieczne formalnie usprawiedliwić się z tego powodu, wobec rozpow szechnionego naówczas mniemania, że ludziom uczonym przystoi jedynie układanie wierszy łacińskich. Ale uczucie jego było zbyt głębokie i zbyt potężne, ażeby je miał być zawrzeć w pęta mowy uczonych; jak je czuł, tak musiał je wypowiedzieć i spisać. Tak powstały w latach jego młodości tchnące szczerością sonety i canzony, a w bolesnych czasach wygnania na tym padole zepsutego świata pojawiły się piorunowe słowa i jasne objawienia jego Komedyi. W tem, iż poezya Dantego z serca płynie, leży tajemnica czarownego jej oddziaływania; przez całe szeregi wieków odbija się ona rozgłosnym echem we wszystkich sercach, w których prawda, cnota i miłość pochodnie swe pali. Aczkolwiek nie jedno, zwłaszcza w młodzieńczych jego poezjach, może nam się dziś wydawać obce i przesadzone, zawsze w nich jednak

czujemy tętno życia i rozkoszowanie się licznymi ich pięknosciami z lichwą to okupuje.

W „Nowem Życiu“ daje nam Dante zbiór swych najpiękniejszych poezyi, opiewających miłość ku Beatryczy Portinari, a związanych treściwem opowiadaniem okoliczności, na tle których powstały. Rzecz rozpoczyna się od d. 1-go Maja 1274-go r., kiedy na zabawie wiosennej w domu szlachetnego Folca dei Portinari, Dante, zaproszony tam wraz z ojcem po raz pierwszy, ujrzał córę gospodarza uroczą Beatrycę, zwykle Bice nazywaną, i obraz jej tak głęboko w duszy zachował, że przetrwał on tam, jako światło kojące przez całe życie poety, pełne trudu i cierpienia. „Nowe Życie“ na tem się kończy, że Beatrycze, w rok po swej śmierci, ukazuje mu się w widzeniu, jako natchnienie do arcydzieła, które miał stworzyć w przyszłości; poeta postanawia milczeć o ukochanej, dopóki nie stanie się zdolnym godnie o niej przemówić, a wtedy spodziewa się to o niej powiedzieć, czego jeszcze o żadnej innej nie powiedziano. I przyrzeczenia dotrzymuje, uniemożliwiając ukochaną w „Bożkiej Komedyi.“

Że już wcześniej zaprzętała go myśl o wędrówce przez piekło, widzimy to z canzony: „Panie wiedzące, czem miłość prawdziwa,“ gdzie Bóg tak do aniołów przemawia:

„Połóżcie koniec próbom utęsknionym,
Bo jest tam jeden, co bardzo boleje;
Jeden, co kiedyś powie potępionym:
Błogosławionych widziałem nadzieję.“

I zresztą, w „Nowem Życiu“ znajdujemy tylko dzieje młodocianej miłości poety; nie zawiera ono prawie żadnych faktów, a nawet pozostawia niewyjaśnionym ten najważniejszy punkt, czy Beatrycze została komu poślubiona. Powszechnie mniemają, że § 14-ty stosuje się do uroczystości jej zaślubin z rycerzem Simone Bardi, przypuszczać również można, że Dante zdobył sobie wzajemność Beatryczy, a to na zasadzie słów, tłumaczących dlaczego nie bliższego nie mówi o ostatnich jej godzinach, po trzecim wreszcie, że nawet z pominięciem pierwszego i drugiego powodu, nie wypadłoby nie pisać w tym przedmiocie, bo „byłbym zniewolony samego siebie chwalić, co byłoby rzeczą niestosowną i naganną.“ Na uwagę zasługuje i to, że dopóki Beatrycze żyła, Dante w żadnym wierszu nie wypowiedział jej imienia i w ogóle starał się miłość swą ku niej ukrywać. Była li to przesadna skromność wobec ukochanej, czy też krepowanie się tem, że do innego należała? Że Guido Cavalcanti, najlepszy Dantego przyjaciel, który go prosił o napisanie żałobnego wiersza na śmierć Beatryczy, był jej krewnym, okazuje się z objaśnienia dołączanego do Canzony: „Kiedy w pamięci obraz przywołuję.“ Uwaga ta jest jedynym szczegółem interesującym szersze koła; po za tem objaśnienia, poezye, utrzymane wyłącznie w suchym scholastycznym tonie, są natury ściśle formalnej.

Z przekładów Dantego i prac jemu poświęconych we wszystkich europejskich językach, możnaby olbrzymią zebrać bibliotekę; nie wiele jednak wnoszą do niej autorowie polscy. O Dantem do niedawna istniała w literaturze naszej tylko jedna praca, a mianowicie: „Florenckie Wieczory“ Juliusza Klaczki; dopiero w ostatnich czasach opracował monografię poety Cezary Jellenta. Posiadamy dotychczas dwa całkowite przekłady „Bożkiej Komedyi:“ Korsaka i Stanisławskiego. Trzeciego dokonał podobno Edward Porębowicz, ale dotychczas ukazało się w druku dopiero Piekło i Czyściec. Będzie to właściwie dopiero pierwszy przekład, godny oryginału. „Nowe Życie“ jeszcze mniej miało szczęścia do tłumaczeń. Znakomity poeta i tłumacz arcydzieł obcej literatury, Felicyan Faleński dał nam różnemi czasami w pięknym przekładzie, oprócz kilkunastu pieśni „Bożkiej Komedyi,“ dwanaście sonetów Dantego, pomiędzy niemi pięć, wyjętych z „Nowego Życia.“ Tłoma-

czenia te ciekawy czytelnik znaleźć może w jego „Przekładach obcych Poetów.“ (Kra-ków, 1892). Pierwszy całkowity przekład „Nowego Życia“ dokonany został dopiero przez Gustawa Ehrenberga i ukazał się w „Bibliotece Warszawskiej“ w r. 1885, ale przeszedł bez najmniejszego wrażenia, zatonałszy niebawem w bibule dziennikarskiej, dzieląc los wielu cennych i ciekawych prac, o których tylko mół biblioteczne wiedzieć mogą. Dopiero po siedemnastu latach wydobył go z zapomnienia p. Ferdynand Hösick, znany biograf Słowackiego i Chopina, dołączając tym sposobem do swych literackich laureatów listek prawdziwej wydawniczej zasługi. Ukazała się więc praca Ehrenberga, w wydaniu drugim poprawionem, jako pierwsze wydawnictwo młodego literata-wydawcy, który, wystąpiwszy na tem nowem dla siebie polu, od razu pod sztandarem Dantego, pozwała nam przyszyć jego wydawniczym zamiarom piękne wróżyć horoskopy.

Praca Ehrenberga jest, jak wspomnieliśmy, pierwszym całkowitym przekładem „Nowego Życia;“ trudno się też było spodziewać, ażeby pierwszy tłumacz dał nam od razu rzecz doskonałą; przy tłumaczeniu arcydzieł poezyi doskonałość tę zdobywa się zazwyczaj stopniowo: a mianowicie każdy nowy tłumacz, z zupełnem do tego prawem, korzysta z dorobku poprzedników i dopiero ten ostatni, którego praca doskonałością swą wszystkie poprzednie zaćmiewa, otrzymuje wawrzyn, zdobyty w znacznej części zasługą tych, co mu wskazali i ułatwili drogę. Pierwsze przekłady arcydzieł bywają zazwyczaj niedołążne. Tłumaczenie Ehrenberga aczkolwiek nie może być nazwane skończeniem doskonałem, posiada zalety, któremi zazwyczaj pierwsze próby tego rodzaju przekładów poszczycić się nie mogą, a mianowicie, dokładne zrozumienie i zupełne odczucie oryginału, a przytem jasność. Ostatnia z tych zalet stała się powodem ujemnych stron przekładu. Oto Ehrenberg, należący do starszego pokolenia poetów, które na technikę wiersza prawie że uwagi nie zwracało, chcąc zresztą może uprzystępnąć zawiłą nieraz formę oryginału polskiemu czytelnikowi, przełożył canzony i ballady Dantego wierszem swobodnym, dowolnie zrymowanym, podczas gdy dla zachowania charakteru oryginału należało w przekładzie utrzymać zarówno ilość sylab, jak i układ rymów. Taki stylowy przekład, aczkolwiek może mniej jasny, nie pozbawiony przez to właśnie pewnego wdzięku, byłby o wiele bardziej do oryginału zbliżony, czego się zawsze od tłumaczenia przede wszystkim wymagać powinno. I w przekładzie sonetów technika wiersza nie zawsze wolna jest od zarzutu. Felicyan Faleński, znany poeta i subtelny wirtuoz wiersza przełożył pięć sonetów z „Nowego Życia,“ które mogą służyć za wzór dla tłumaczy Dantego. Podajemy sonet 13 ty dla porównania w przekładzie obu poetów:

Przekład Ehrenberga:

Gdy kogo pani uklonem obdzieli
Z skromną powagą, ten, przejęty cały
Milczy, bo język ma jak odrętwiały,
I oczów ku niej wznieść się nie ośmieli.

Ci, co ją w słodycz odziana ujrzeli,
Jak skromnie kroczy, gdzie brzmią jej pochwały,
Z niebiańskiej, mówią, że zastąpiła chwały,
By nam dać uczuć, żeśmy cud widzieli.

Jak się to dzieje, że ta pani zdola
Przez oczy serca słodyczą napawać?
Chcąc pojąć, trzeba samemu doznawać.

Zdaje się wtedy, że gdzieś, blisko czola,
Przeleci Miłość w postaci anioła,
I każe duszy natchnienia wydawać.

Przekład Faleńskiego:

Tak dziwnie wdzięczną i tak skromną bywa
Paniątka moja, gdy pozdrawia kogo,

Że usta drżące znaleźć słów nie mogą,
Wzrok zaś olśniony nią jest aż do żywa.

Choć wie, że zewsząd cześć ją wielbi tkliwa,
W prostocie duszy kroczy w świat swą drogą,
Rzekłbyś: na Ziemię z Niebios w chwilę błoga,
Spłynęły jakieś niepojęte dziwa.

I wszystkim, którzy patrzają na nią przyjazna,
Tak silną słodycz w serce śle przez oczy,
Jakiej nie pojmnie nikt, kto jej nie zazna,

Gdyż z ust przetwartych pani tej uroczej,
Coś tak Miłości słodkiej technie rozkosze,
Że wręcz do duszy mówi: — Wzdychaj proszę.

Z zestawienia obu tych przekładów widzimy, że Ehrenberg dążył do uprzyściplnienia i spopularyzowania poety, Faleński zaś oddał w odlewie polskiej mowy całą wytworność i subtelność formy oryginalną.

Wydanie przekładu Ehrenberga jest ze wszech miar staranne. Poprzedza ją skreślona przez tłumacza przedmowa, dająca dokładny obraz współczesnych społecznych i literackich stosunków, na tle których dopiero wyraziście zarysowuje się sam poemat. Książkę zamyka skreślona przez Antoniego Beaupré sylwetka tłumacza, o którym wiedzieć należy, że był poetą z Bożej łaski, nie szukającym nigdy popularności, a w skutek tego zbyt mało znanym i cenionym przez dzisiejsze pokolenie.

Panu Ferdynandowi Hösickowi należy się serdeczna wdzięczność, za to, że dał nam możliwość skąpania się w ożywym źródle poezji Dantego. Teraz oczekują swej kolei: Petrarca, Byron, Shelley, Leopardi, Musset, Goethe, Heine i tylu, tylu innych.

WZ. N.



NASZ KWESTYONARYUSZ MACIERZYŃSKI.



II.

Wyczytawszy w „Bluszczu“ odezwę p. t.: „Nasz kwestyonaryusz macierzyński“ — postanowiłam i ja nadesłać też odpowiedź; tymczasem przyznam się, zabrakło mi do tego odwagi. Nie dlatego, bym się obawiała, czy potrafię cośkolwiek przygotować do druku, ale poprostu bałam się, że chcąc zabrać głos w kwestyi tak ważnej, muszę poniekąd dotknąć własnego życia, własnego ja i własnych doświadczeń i co za tem idzie, zdanie moje stanie się zanadto jednostronnem. Ale skoro „Bluszcza“ po raz drugi upomina się o nadsyłanie odpowiedzi — zbieram odwagę, zastrzegając się jednak z góry, że słowa moje nie mogą być jeszcze miarodajne, bo zależy tu wiele od tego, jak się kto na życie zapatruje; ale chcecie wiedzieć, co ja o tem sądzę, to posłuchajcie: najpierw zaznaczyć muszę, że będąc urodzona na wsi, a tylko kształcona w mieście, znam lepiej stosunki wiejskie od miejskich i o tych pierwszych pisać zamyślam.

Jeżeli wychowanie dziewcząt w mieście jest tam prowadzone racjonalniej i zastosowane bardziej do średnich potrzeb materyalnych — wychowanie panny wiejskiej stoi zawsze do tychczas na tym samym poziomie, co przed kilkunastu laty. U nas, bez wyjątku, córki obywatelskie — ubogie czy bogate, córki zamężnego obywatela, czy średniego dzierżawcy, byle tylko szlachcianki, są prawie zawsze nad stan chowane.

To nasz błąd — nasz najważniejszy i najboleśniejszy błąd, a ponieważ kazano mi mówić o błędach, przykładam od razu siekierę do korzenia i przyczynam od najważniejszego.

Ile złego dałoby się uniknąć, gdyby dziewczynkę od małości przyzwyczajano do średnich potrzeb; do miernych wymagań, do usługiwania więcej sobie i drugim, aniżeli wywyższanie się we wszystkim pannami-służącymi i pokojówkami. Nie mówię tu o domach magnackich, gdzie oczywiście środki na to pozwalają, ale o domach, gdzie te panny-służące i pokojowe, te zbytki i stroje, te bale i podróże są li tylko pożyczanymi pieniędzmi płacone. A tak jest, tak jest niestety! Nieraz ojciec i matka wiedzą o tem dobrze, ale za całe tłumaczenie mówią: „Przecież są córki, a te córki muszą się pokazać światu, wystąpić odpowiednio, pochwalić i być chwalone“ etc., etc. Długo się zaciąga coraz nowe, byle córki wydać za mąż, a potem majątki licytują, rodzice idą na miejską biedę, a córki jeżeli wyszły dobrze za mąż, wychowują w ten sam sposób swoje dziewczęta, jeżeli wyszły średnio, nie umiejają się do skromnych potrzeb zastosować i pozują na nieszczęśliwe ofiary; jeżeli zaś nie wyszły wcale, skazane na poranie się z losem, zarabiają szcziem lub złe płatnem nauczycielstwem, bo nikt nie pomyślał o tem, żeby im dać jakiś fach do ręki.

Nie każda może dostać urząd lub inną dobrane płatną posadę, a i nad taką panna wiejska się namyśla, czy to jej ujmie nie przyniesie, wychodząc z mylnej zasady, że „noblesse oblige!“

Drugim złem jest, że na wsi dziewczęta zupełnie nie uczą gospodarstwa. Dziwnem to się wydaje, ale jakże często się zdarza, że chociaż matka jest doskonałą gospodynią i rozumie się na wszystkim, córki jej tak mało pod tym względem umiejają.

A dlaczego tak jest? — zaraz wytłumaczę.

Dziewczę doszedłszy do lat jedenastu, bywa oddane na pensję, gdzie pozostaje mniej więcej 5—6 lat i chociaż przez ten czas miesiące wakacyjne mogłyby być użyte na naukę gospodarstwa, ale brak chęci ku temu staje na przeszkodzie. Paniencie się nie chce, a pocziwa mama mówi: „Niech tam dziecko używa swobody, od tego są wakacje!“ Więc kuchnia, spiżarnia, obory i kurniki, to miejscowości zdala przez panienki omijane, a już folwark i gospodarstwo rolne pozostają ową prawdziwą „terra incognita“ aż do zamążpójścia! Ukończywszy pensję, panna wraca do domu i oddaje się najczęściej czytaniu romansów, jeżdżeniu w sąsiedztwo, zabawie, nie myśląc wcale o jakiejkolwiek pracy, odkładając to do czasu, gdy sama będzie panią domu. A wtedy już zapóźno, nie pora zdobywać wiadomości potrzebne kosztem własnej kieszeni, bo wyzyskiwaniem przez sługi, które korzystają z łatwości i niedoświadczenia swej młodej pani.

O gospodarstwie rolnem i folwarcznem nie mając najmniejszego wyobrażenia, choćby chciała być pomocną mężowi — nie może, bo się na niczem nie rozumie. Dobrze, jeżeli ten mąż jest sam dobrym i pracowitym agromem, to jeszcze jakoś idzie, ale jeżeli pan i pani domu sypiają długo, a służba rządzi, jak sama chce, jeżeli pan i pani oddawszy klucze ekonomowi i szafarce, sobie tylko pozostawiają tytuły gospodarza i gospodyni, — z łatwością można przewidzieć smutny koniec takich rządów.

Nie chcąc zabierać zbyt wiele miejsca na łamach „Bluszcza“, streszczam się jak mogę — wspomnieć jednak jeszcze muszę, jak się zapatruję na zamążpójście kobiet w dzisiejszych czasach. Do tej pory walczyliśmy jeszcze utartym komunałem, że jedynym celem dla kobiety jest małżeństwo. Zgadzałem się z tem po części i nie będę się zbyt rozszerzać, gdyż już dosyć w tym przedmiocie pisano, lecz zaznaczam tylko, że lepiej wcale nie wyjść za mąż, niż nieodpowiednio pod względem charakteru i usposobienia, bo miejmy zawsze w duszy zdanie niemieckiego poety:

Drum prüfe, der sich ewig bindet,
Ob sich das Herz zum Herzen findet!

Jednakże tak rzadko spotyka się dobrane pary, iż chyba przyjdzie uwierzyć owemu podaniu, w którym to Pan Bóg porozrzucał po świecie rozpolowane gruszki; zależy teraz od tego, czy każda swoją połowę znajdzie. Tak i z ludźmi. Trudno tutaj podać jakiegokolwiek wskazówki, jak złemu zapobiedz, bo nawet się zdarza niewystarczającym długoletnim narzeczeństwem na poznanie się wzajemne. Miałam tego dowody i patrzyłam na kochającą się przez lat sześć, parę narzeczonych, którzy po ślubie przyszli do tego przekonania, że nie są stworzeni dla siebie.

Muszę się jednak wytłumaczyć, co rozumiem przez dobraną parę małżeńską: Mąż i żona powinni rzeczywiście stanowić jedną duszę, razem żyć, razem pracować, razem myśleć. Nie zawsze zawód męzczyzny na to pozwala, ale na jednym polu praca ich może i powinna być wspólną, a mianowicie na roli. Jeżeli zwłaszcza majątki ich są wspólne, to i praca wspólną być powinna. Mąż nigdy nie ma prawa usuwać żony od interesów, powinni zawsze dla wspólnego dobra razem je prowadzić, bo co się dzieje np., jeżeli żona po śmierci męża, zostanie zupełnie bezradną, nie mającą nawet pojęcia o tem, co do niej należy? Co się dzieje, jeżeli zostaną dzieci, sieroty, i oprócz trudów ich wychowania, spada na kobietę cały ciężar powikłanych i trudnych interesów?... A byłoby jej o połowę lżej, gdyby знаła stan interesów i była przygotowana na wszystko. To też już matka powinna zawczasu uczyć córkę, że małżeństwo wcale nie jest spokojnym portem, do którego panna po trudach karnawałowych zawija, lecz obowiązkiem trudnym, zadaniem ważnym, a życie jej pełne pracy i zaparcia się siebie być powinno. Od młodości sposobieć rękę trzeba do każdej pracy, hartować ducha na zawody i trudy życiowe, jednym słowem: uczyć się spełniać obowiązki.

Bez Boga jednak nie potrafimy nic zrobić, to też pamiętajmy o tem, że religia, wiara i miłość dla celów wyższych powinny być tym sterem, przy którym kobieta oprzeć się potrafi, — tym ratunkiem i dźwignią w dniach ciężkich i smutnych dla tych zwłaszcza, którym los poskąpił jasnych, słonecznych promieni szczęścia, które sobie właśnie stworzyć muszą przez gorliwe pełnienie obowiązków.

Shczęście nie zawsze można znaleźć na ziemi, obowiązek jednak jest zawsze i wszędzie pod ręką każdej kobiety — a więc niech on stanie się hasłem każdej z nas, czy to zamężnej, czy niezamężnej, zawczasu więc uczmy nasze córki, jak uczyła niegdyś matka Marynię Połaniecką, iż nie po to powinno się za mąż wychodzić, by być szczęśliwą, tylko po to, by spełnić te obowiązki, które Bóg wówczas na nas wkłada — i że szczęście to tylko przydatek i podarek Boży...

Z nad Dunajca.

III.

Korzystając z przedłużenia terminu „Kwestyonaryusza macierzyńskiego“, i ja dorzucam słów kilka do ogólnego zbioru; daj Boże, aby one przyniosły pożytek młodszym moim siostrom, które się mogą znaleźć kiedyś w podobnym mojemu położeniu.

Za najpotrzebniejszą cnotę dla kobiety: żony i matki, uważam cierpliwość, tej niewyczerpane zasoby są nam w życiu potrzebne.

Dalej — uważam, że kobieta, jako matka i wychowawczyni młodego pokolenia — powinna posiadać wykształcenie co najmniej gimnazjalne, aby sama swe dzieci mogła przygotowywać do szkół, a następnie być im pomocną w nauce.

Mam syna w czwartej klasie, a ten jeszcze bardzo często mojej pomocy w nauce po-

trzebuje. Mówię tu naturalnie o matce, rozporządzającej niewielkimi funduszami, a takich podobno legion,—zamożna bowiem kobieta, może się wyręczyć, biorąc korepetytorów. Ja sama wszystkie swoje dzieci przygotowywałam do szkół, zarówno chłopców, jak i dziewczęta, a przez to dużo zaoszczędziłam w budżecie domowym.

Dalej kształć dziewczęta w pedagogice, uczmy je sztuki wychowywania dzieci, hartowania ich charakteru i woli. Niech dziewczęta same posiadają tę przymioty, bo tylko wtedy wpoić je będą mogły w drugich.

Chociaż celem mojego życia jest dom, wychowanie dzieci,—temu poświęciłam całe swe życie, od chwili zostania matką,—miewałam jednak chwile w życiu trudne i ciężkie, a to dlatego, że w wielu razach nie umiałam znaleźć odpowiedniego sposobu wyjścia z dziećmi. Niech każda panna przed zamążpójściem poświęci przynajmniej rok jeden wychowaniu i nauce dzieci obcych, niech pozna charakter dziecięcy, niech umie radzić sobie z dziećmi krnąbrnymi i nieposłusznymi, a lepiej jeszcze, niech nie dopuści do tego, aby takimi się stały, a nade wszystko niech wyrabia w sobie silną wolę i stanowczość, przy słodczy charakteru!...

Największą stanowczość i słodycz—posunięta do doskonałości—oto podług mnie ideał wychowawczy.

Przy wychowaniu dziecka pamiętać o tem należy, że owo wychowanie rozpoczyna się z chwilą przyjścia jego na świat i że tego posłuszeństwa, uległości, uczyć potrzeba wcześnie. Niech dziecko wie o tem, że co matka raz postanowi, zmienionem być nie może. Najczęściej zapominamy o tem, że wychowanie dziecka zaczynać trzeba już od kolebki i pierwsze lata pięcimy zanadto nasze pociechy, dogadzamy we wszystkim, nie karzymy wad, licząc na to, że gdy dzieci będą starsze, to się poprawią. [Nieprawda, im starsze, tem się robią gorsze, trzeba matkom dobrze o tem pamiętać, bo potem już będzie za późno, i niejedna łza popłynie z oka matczyńskiego.

Niech wszystkie dziewczęta, wychodzące za mąż, wiedzą o tem dobrze i pamiętają, że zamążpójście—to nie sielanka we dwoje, ale ciężki i trudny do spełnienia obowiązek, że z chwilą ślubu zaczyna się życie pełne ofiar i poświęceń.

Tyle co do matek. Przejdźmy teraz do kobiety, jako żony. I tu nie trzeba mieć złudzeń. Niech panny pamiętają o tem, że ten słodki, czuły narzeczony, przynoszący kwiaty i słodycze, zamieni się w pana, mającego swoje wymagania, nieraz ciężkie i trudne do spełnienia. Niech dziewczęta, idące za mąż, pamiętają o tem, że ważnym warunkiem do szczęścia w małżeństwie jest nie tylko charakter, ale i to, aby wyższość umysłowa była koniecznie po stronie mężczyzny. Przy kształceniu dzieci, warunek ten jest nieodzowny; brak wykształcenia ojca, wpływa ujemnie na szacunek dzieci dla ojca i bardziej jeszcze wychowanie utrudnia.

Dalej kobieta, jako gospodyni domu, znać się powinna na gospodarstwie, umieć sporządzić sama każdą potrawę, zarówno prostą, jak i najwykwintniejszą—bo powiedzmy prawdę, najlepsza droga do mężowskiego serca, przez żołądek (wybaczcie panowie, ale tak jest, niestety!). Nie jedno niezadowolenie, nie jeden zły humor, da się często zażegnać za pomocą dobrego rozbeefu lub leguminy!

Dalej jest rzeczą konieczną, aby kobieta posiadała jakiś fach w ręku, aby w razie potrzeby mogła swą pracą dopomagać mężowi w utrzymaniu domu. Ja sama, oddawszy najmłodszego syna do szkoły i mając wolne ranne godziny, poświęcałam je chętnie jakiejś pracy zawodowej, gdybym ją miała, i szczęśliwą czułabym się bardzo, gdybym

w ten sposób mogła powiększyć budżet domowy!

Oto moje spostrzeżenia, zrobione w ciągu ośmnastoletniej praktyki małżeńskiej; dzielę się z nimi chętnie w nadziei, że się młodszym moim siostronom przydać będą mogły.

Awa.



Ellen Key.

PRYZOZDABIANIE DOMU.



Wszystkie kobiety wiedzą, że to, co jest pożytecznem, jest godnem uznania.

Wiele pań uważa, że piękno jest czemś nader przyjemnem — ale jakżeż mało osób pojmuje, że połączenie pożytecznego z pięknem jest jedyną rzeczą, wartą, by do niej dążyć?! A i nieliczna garstka tych, mających pojęcie o tem, rzadko posiada jasne wyobrażenie o sposobie urzeczywistnienia tej harmonii. Jeszcze rzadziej spotykamy energiczne pragnienie, będące nieodzownie potrzebne do przezwyciężenia praktycznych trudności, przeszkadzających urzeczywistnieniu piękna „u siebie w domu.“ Przyczyną tego jest, że i estetycznie uświadomiona kobieta sądzi, że dążenie do piękna jest li okrasą życia, ale nie powinnością każdego. Piękno — uważają za zbytek, na zaspokojenie którego jedne posiadają środki materialne, a inne nie. Ależ przeciwnie. Wszak jest udowodnioną rzeczą, że każdy, posiadający zmysł piękna, może osiągnąć pewną harmonię między pięknem, a pożytecznem, gdy tego pierwszego nie uważamy mylnie za wyrafinowany zbytek, będący — przeciwnie — często przeszkodą dla rzeczywistego piękna. Możemy je osiągnąć prostymi środkami i małymi kosztami. Kobiety, dążące do piękna, mające równocześnie na względzie pożytek, zaspokajają nie tylko uzasadnione żądania swej natury, lecz wywierają równocześnie głęboki wpływ na członków domu, którego są duszą. Na usposobienie dziecka działają piękne wrażenia wychowawczo i uszlachetniająco, dorośli odczuwają wytworną radość, podczas, gdy kobieta sama staje się szczęśliwszą przez rozkosz tworzenia, która towarzyszy zazwyczaj wykonywaniu jakiejś sztuki.

Jak błędem jest mniemanie, że piękno w domu może być osiągnięte jedynie przez bogactwo, widzimy to między innymi np. w niektórych — najkosztowniejszych przedmiotach zbytku i dziełami sztuki przeładowanych mieszkaniach, gdzie rzeczy nie wybierał indywidualny gust i nie ustawiał ich na miejscach odpowiednich, lecz gdzie najsprzeczniesze przedmioty zgromadził i porozmieszczał — dekorator. W takim środowisku draperyi i poduszek, wachlarzy i dywanów, ogarnia miłośników piękna tęsknota namiętna za czemś wręcz przeciwnem np. za jednolitością i skromnością staroświeckiej, wiejskiej komnaty o jasnych sprzętach, białych muslinowych frankach i pustych ścianach. Lecz on wie, że takich pokoi dziś nie ma, że nawet w najdalszych okolicach spotka się z banalnością w postaci bukietów makartowskich, wachlarzy japońskich, pstrych talerzy, oleodruków i innej tandety. Wiele kobiet nie posiada nawet tyle dobrego smaku, by, jeżeli np. odziedziczą stylowe, staroświeckie urządzenie, umiały je ocenić lub zgodnie z duchem obecnym przemienić, nie czyniąc ich banalnem.

To, co następuje, jest przeznaczone dla tych wszystkich kobiet, posiadających zmysł piękna, lecz żałujących, iż nie rozporządzają

środkami, pozwalającymi zaspokoić ich skłonności — kobiet, które wzdychając, kupują bezstylowe sprzęty, ponieważ te są tanie; które sądzą się zmuszonymi do zawieszania swych obrazów na tapetach, o niespokojnym czerwono-brunatnym lub czarno-zielonym odcieniu, zabijającym obrazy,—kobiet, starających się pokryć białą twardość podłogi resztkami dywanów.

Ale gdyby powyższe panie, urządzając się, chciały naśladować pewną mą młodą znajomą — która wybraawszy sobie skromne, ale stylowe modele mebli, kazała je zrobić wiejskiemu stolarzowi i sama je lekko zabarwiła, mogłyby przynajmniej w kwestyi mebli — połączyć niejednokrotnie pożyteczne z pięknem i taniem.

Co się tyczy tapetów, to można — kupując najtańsze jednobarwne, lub w razie potrzeby odwracając po prostu pstre tapety na odwrotną stronę, która jest szarawo-zielonawa lub łagodnie żółta — uczynić ściany harmonijnem tłem dla sprzętów i dzieł sztuki.

Wedle bardzo łatwej recepty, jest nadto każdemu możliwem, nadać swej posadzce przez napuszczenie, ciepły, złotawo-brunatny odcień. Kto np. sam robi na swe meble drewniane lub wyplatane poduszki z tak taniego i stylowego angielskiego kretonu, — ten także i w tem jednoczy piękne z taniem. Owe praktyczne wskazówki mogłyby, zastosowane do położenia każdej z pań — iść w nieskończoność.

Bezmyślny zbytek działa na nas przygniatająco. Dzieła sztuki, nagromadzone w takich, ozdobami przeładowanych ubikacjach, nie mogą się dobrze uwydatnić, gdyż brak im wytwornego otoczenia. Przedmioty służące do użytku są tak pozmieniane, że nie poznać, do czego są przeznaczone. Tylko człowiek o złym smaku sądzi, że rzecz użyteczna przez to staje się piękną, gdy różne ozdoby ukrywają jej zastosowanie, i żaden sprzęt domowy wszelako nie jest piękny, jeżeli nie wzbudza w nas przedewszystkiem uczucia dogodnej stosowności a później zgrabności, będącej w zupełnej zgodzie z celem.

W ostatnim 25-leciu można zauważyć zresztą wielki postęp odnośnie do dobrego gustu; żadna z pań nie wyszywa teraz koni na poduszkach i ptaków na podnóżkach, i nie stara się już nadać swemu mieszkaniu przez białe pokrowce wyglądu strychu, na którym się bielizna suszy. Można widzieć czasem prawdziwie artystyczne rzeczy, np. nakrycia stołowe, przy których kolory tryumfują wskutek podłużnej serwetki (milieu) i kwiatów, lecz te wszystkie piękne okazy artystycznego przemysłu nie są jeszcze stopione w organiczną całość z resztą urządzenia. Mało która kobieta uważa pokój za jedność, w której wszystko — barwy i kształty — powinny działać harmonijnie, gdzie główne rzeczy należy uwydatnić, a poboczne im podporządkować, gdyby nawet były bardzo piękne; gdzie raz osiąga się efekt przez wypełnienie pustego miejsca, a drugi raz przez to, że się je pustem zostawia. Jeszcze mniej osób rozumie jak najlepiej uwydatnić dzieło sztuki — tak przez właściwe miejsce, jakoteż i tło. Miedzioryt np. wymaga zwykłej drewnianej ramki i najlepiej się wydaje na jaśniejszej, np. błękitno-szarej tapecie. Olejny obraz zaś potrzebuje ciemnego, najlepiej fioleto-zielonego tła, jakie tworzą modne angielskie tapety.

Bogaczowi jednak, któremu wszystko jest dostępne, grozi inne niebezpieczeństwo, mianowicie, że wskutek stylowego szalu nada swemu domostwu piętno muzeum, wystawy artystycznego przemysłu, o pokojach w stylu barocco, rococo i empiry; takie pokoje jednak w oczach człowieka o głębszem, artystycznym uczuciu, są pozbawione prawdziwego stylu, gdyż powstały same dla siebie, nie są tem, czem wszystkie pokoje mają być, — wyrazem osobistych potrzeb i gustów mie-

POTWORY.

Pastel sceniczny w jednej odsłonie.



OSOBY:

KAZIMIERA BOJNICKA, szatynka.
STEFANIA MARYLSKA, blondynka.
ANNA SOLSKA, brunetka.
JULIUSZ MASZEWSKI.

(Rzecz dzieje się w Warszawie).

(Scena przedstawia salonik Bojnickiej, bogato i gustownie umeblowany. Z prawej strony kominek i obrazy, cacka, lampy przysłonięte abażurami, na stoliku elegancka zastawa do herbaty).

SCENA I-sza.

KAZIMIERA i STEFANIA (w toalecie wizytowej i kapeluszu).

KAZIMIERA (nalewając herbatę) Rozgrzejesz się, taka dziś fatalna pogoda, spróbuj-no tych ciastek!... Nowość od Loursa.

STEFANIA (biorąc filiżankę) *Merci!* (jedząc ciastko) rzeczywiście, wysmienite. U hrabiny Adeli ostatnio na *journe* były nie do przełknięcia. Oczekujesz dziś jeszcze gości? Późno już.

KAZIMIERA. Może niepogoda ich odstraszy. Ale muszę cię o coś spytać, czy odpowiesz szczerze?

STEFANIA. Ależ zapewne. Pytaj!

KAZIMIERA. Nie będziesz się gniewała?

STEFANIA. Co za przygotowania!... Odpowiem, jak skazaniec sędziemu.

KAZIMIERA. Czy Maszewski często u was bywa?

STEFANIA (zdziwiona). Dosyć; lubię go, miły, sympatyczny...

KAZIMIERA. Tak, ale niebezpieczny!

STEFANIA (śmiejąc się nieszczerze). Kaziu, co ty mówisz! On, i niebezpieczny! Czyż mając lat 26, być nim można? Zresztą, zależy jak dla kogo, *c'est un charmant bébé*.

KAZIMIERA. Nie zgadzam się z tobą. Ja go lepiej i dłużej znam od ciebie. Mam ci go określić?

STEFANIA. I owszem, słucham.

KAZIMIERA. Julek Maszewski jest moim kuzynem. Znam go od lat dziecińczych, ba, za- nadto może...

STEFANIA. Jaktó zanadto?

KAZIMIERA. Zaraz ci powiem. Gdy mąż mój lat parę temu na czas jakiś wyjechał za interesami, Julek starał się mnie bawić, codziennym był u mnie gościem i strasznie zaczął mi nadszakać; wszak pokrewieństwo na to pozwala. Lubiałam go, jest wesół, sprytny, jednym słowem jest miłym towarzyszem. Ale gdy z kuzyna stawał się amantem nie- szczęśliwie do mych względów wzdychającym — zamiary jego wówczas przejrzałam i skarciłam go za to.

STEFANIA (zaciekawiona). I cóż zrobiłaś?

KAZIMIERA. Zbyt surowej kary nie wymie- rzyłam, lecz poprostu wpadłam na kobiecy fortel. Zaczęłam go zapewniać o miłości mej dla męża, wychwalałam zalety Zdzisława, za- pewniając go, że o Zdzisia ogromnie zazdro- sna. To podziałało. No, wiesz, Julek nie był- by chyba mężczyzną, gdyby ten argument przekonać i odstraszyć go nie miał. Mężczy- żni wierzą zawsze w miłość kobiety, gdy za- zdrość w grę wchodzi.

STEFANIA. I przestał wdychać?

KAZIMIERA. Ależ naturalnie, i od tej pory jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Ale ty miej się przed nim na baczności, bo paluszki sobie sparzysz!...

STEFANIA (oburzona). Ja? zkażde znowu, ależ moja Kaziu, czemu tak sądzisz? Bardzobym ci za złe wzięła twoje posądzenia, gdybyś nie była moją przyjaciółką!

KAZIMIERA (obejmując ją). Ale ja bystro pa- trzę i widzę, co się święci. Usłuchaj mojej rady — bądź ostrożną, on nie taki niewinny, jak ci się wydaje. Gdy mu się kobieta spó- doba, to jak pszczoła koło kwiatu, koło niej się kręci, a zawsze z celem na oku.

STEFANIA. Dziękuję ci za przestrożę. Julek mi się podoba, przyznaję szczerze, a nawet...

KAZIMIERA. Zajmuje cię!

STEFANIA. Tak; wszak my kobiety tak za- dne wrażeń jesteśmy, tak nam przyjemnie, gdy się podobamy.

KAZIMIERA. Ale bój się Boga, ty od lat paru zaledwie jesteś mężatką!

STEFANIA. To i cóż? Męża kocham, ale po za strawą codziennego życia pragnę mieć wra- żenia, tęsknię za ideałami...

KAZIMIERA. Julek — ideał! Śmiać się muszę! On — ideał! Dlatego, że ładnie mówi, ślicznie się ubiera, że zna formy towarzyskie na wy- lot, a jeszcze lepiej słabe serduszka kobiet, do których atak przypuszcza. Czy cię już zapewniał o swojej miłości?

STEFANIA. Nieraz. Wciąż mi nadsyła kwia- ty, książki, wszędzie się spotykamy, nie od- stępuje mnie ani na krok.

KAZIMIERA. A mąż twój cóż na to?

STEFANIA. On? zagrzebany po uszy w swo- ich kodeksach prawnych...

KAZIMIERA. Wiedz zatem, że pan Juliusz nawet oryginalnym być nie umie. I mnie kwiatami obdarzał, i we mnie, jak w obraz tęskne wlepił oczy, i ja jedyną i pierwszą jego byłam miłością. Ha, ha, ha!

STEFANIA. Czy to ironia?

KAZIMIERA. Prawda, kochanie, prawda. Słu- chaj, nie daj się przez niego skompromito- wać!... Szkoda ciebie dla tego pana; szkoda twych uczuć, zwróć je swemu mężowi.

STEFANIA (budząc się z zamyślenia). Nizka rassa ci mężczyźni i wierz tu, i kochaj, i marz, i śnij; kiedy każda, byle ładna buzia, jest przedmiotem ich uwielbień. Już nigdy im wierzyć nie będę!

KAZIMIERA. Cóż chcesz, to esteci, piękna szukają i jemu hołdują, to egoiści — cudzych żon pragną, a dla własnych wyjątkowe tworzą prawa, ufni w siebie, bo w walce z na- mi silniejsi, oni zmysłami jeno się kierują, my — uczuciem. Mimo to lubimy ich i cóż- byśmy bez nich robiły!

STEFANIA. Podziwiam twoją trzeźwość. Ja tak myśleć nie umiem!

KAZIMIERA. Bo woalkę masz jeszcze na o- czach. To jeszcze ta panięńska woaleczka, z po za której my tak różowo i trwożliwie na świat spoglądamy.

STEFANIA. A ty?... (Pukanie do drzwi).

Tłóm. Berta B.



SCENA II-ga.

CIŻ I JULIUSZ.

KAZIMIERA. A, kuzynek! Dzień dobry! więc jeszcze nie zapomniałeś o mnie?

JULIUSZ (witając się). Nie zupełnie, jak widzisz, wiem, że przyjmujesz w piątki. *Le the de cinq heures*, to rozkosz największa. Tak panie ładnie o wszystkim i o niczem gawędzą.

STEFANIA. A pan słucha i filozofuje.

JULIUSZ (śmiejąc się). Nie, droga pani, to za sucha nauka. Ja wolę temat.

KAZIMIERA. Westchnień!

JULIUSZ. Cóż znowu?... ploteczek.

STEFANIA. I dlatego nas pan odwiedzasz?

JULIUSZ. To pretekst dla spędzenia rozkosznych chwil.

KAZIMIERA. W naszym towarzystwie! Kuzynek zawsze miły i w cały arsenał komplimentów uzbrojony. (Wstaje, idzie w głąb, dzwoni).

JULIUSZ (cichy do Stefanii). Jaka pani dziś znowu śliczna!

STEFANIA (wstaje). Która to godzina? (spogląda na zegar). Ach, już po piątej! Kaziu, wybacz, ale już pójść muszę!

KAZIMIERA (podechodząc). Nie, moja droga, kuzynek gotów by cię posadzić, że to tak przed nim zmykasz. Chodź, siadaj i gawędźcie, ja za chwilę przyjdę. Muszę garderobianej dać wskazówki, co do toalety na dzisiejszy raut. (do ucha Stefanii) Daj mu odprawę...

SCENA III-cia.

STEFANIA, JULIUSZ.

JULIUSZ. Od dwóch dni pani nie widziałem, to też tak bardzo mi za panią było tęskno!

STEFANIA (z ironią). Tęskno! czy masz pan czas na tęsknotę?... Trudno mi w to uwierzyć.

JULIUSZ. Zawsze pani nieufna, a jednak dzień wczorajszy spędziłem, myśląc tylko o pani, i...

STEFANIA. Szkoda czasu, drogi panie Juliuszu, ale dosyć tych żartów!... Opowiedz mi pan jakie nowinki, coś z nowości literackich.

JULIUSZ. Mam w pogotowiu spory zapas książek dla pani i pozwolę je sobie jutro oświadczyć. Są tam ustępy podkreślone ołówkiem. Niech się pani nad treścią ich zastanowi. Jest tam dużo prawdy i—serca.

STEFANIA. To niepotrzebne, mam go dosyć (wzdycha) aż nadto może...

JULIUSZ. To obdarz mnie pani choćby małą jego cząsteczką, a będę szczęśliwym między szczęśliwymi; ba, najszczęśliwszym!...

STEFANIA. Już znowu temat pozytywki?

JULIUSZ. Sercowej! zawsze miłej do słuchania.

STEFANIA. Nudzisz mnie pan! Czemu Kazia nie wraca? (dochodzi do drzwi).

JULIUSZ. Ach, zapomniałbym omal. Wszak mam dowód mych myśli. (Wyjmuje pugilares). Cenne rzeczy. Oto dwa autografy niepospolite... Racz je pani przyjąć do zbioru swojego!

STEFANIA (z radością). Autografy! (czyta): Anunzio i Maeterlinck, ach dziękuję panu, bardzo dziękuję!... Doprawdy nie wiem, jak pana wynagrodzić.

JULIUSZ. Ja wiedziałbym.

STEFANIA. A to byłoby?

JULIUSZ. Obdarzyć mnie swoją wiarą, zaufaniem, uwierzyć w szczerść moich słów i uczuć—dobrze? (Całuje ją w rękę, patrząc znacząco w oczy).

STEFANIA (nieśmiało). Spróbuję!

JULIUSZ. Dziękuję pani—droga. (Wchodzi Kazimiera).

KAZIMIERA. Wybaczcie, moi kochani, suknia źle leży i całą na prędce przerobić musiałam. (do Stefanii) Będziesz dziś na raucie?

STEFANIA. Z musu. Jestem gospodynią.

JULIUSZ. No, ale teraz, niestety, panie pożegnać muszę, mam *rendez-vous* z przyjacielem (patrzy na zegarek). Tutaj nikt więcej zapewne nie przyjdzie. Oh, la, la, już szósta godzina dochodzi, a zatem (kłania się) *a ce soir* moje panie. (Na wychodnym spotyka Solską).

SOLSKA. Dzień dobry! Chcesz pan papierosa? (Podaje mu papierosnicę).

JULIUSZ. I owszem; tu go zaraz wypalę.

KAZIMIERA. A przyjacieli?

JULIUSZ. Jeszcze chwilę zaczeka.

KAZIMIERA (do Solskiej). Może pani zdejmie okrycie?

STEFANIA. Wybornie pani w tym kapeluszu. To model od Virot, czy od Réboux?

SOLSKA. Model z mojego atelier. Ja sama fabrykuję sobie te ozdoby naszej piękności. To wstrętne widzieć na wszystkich głowach jedno i te same nakrycia. Obecnie noszone kapelusze—to talerze, więc każda musi mieć talerz—duża czy mała, tłusta lub chuda. Papiugi! Nie znoszę mody i dlatego sama ją sobie tworzę (zapala papierosa).

JULIUSZ. I przyznać trzeba, że czarodziejskie ma pani rączki.

KAZIMIERA. Tu gorąco, zaziębisz się w okryciu.

SOLSKA. Dziękuję, *darling*, na chwilę tylko wpadłam, spieszo mi do domu, tak zziębłam! (dochodzi do kominka).

STEFANIA. Dokąd się pani tej zimy wybierasz, na Riwierę?

SOLSKA. Nie, droga pani, wyjątkowo pozostaję w Warszawie. Doskonale się obecnie w malarstwie, mam wybornego nauczyciela: nowa szkoła, silna indywidualność.

KAZIMIERA. Zazdroszczę ci tego talentu; mnie dzieci cały czas zajmują, to nie modne, prawda? (śmiejąc się).

SOLSKA (do Juliusza). Zwiedziłeś pan ostatnią wystawę?

JULIUSZ. Tak, bardzo udana. Co za impresjonizm, jakie *plein-air'y*!

SOLSKA (do Kazimieri). A co, widzisz! Mówiłaś, że przesadzam. Panie mój, jakież teraz nowe światy sztuka nam otwiera, co za wspałały anarchizm, jakie wyzwolenie z archaistycznych szrańek. *Soyons ami Cinna!* (Podaje rękę Juliuszowi). Pan mnie rozumiesz. *Vous êtes un connaisseur!*

STEFANIA (złośliwie). Pan Juliusz podziela zawsze zdanie pięknej kobiety.

JULIUSZ. Kobiety tak subtelnie odczuwać potrafią.

KAZIMIERA (ironicznie). A kuzynek tak chętnie z niemi współczujesz!

JULIUSZ. Ależ moja Kaziu, przyznaj raz wreszcie, że ty *en fait d'art*, no, jakżeby to powiedzieć?—zanadto wielką jesteś pozytywistką, no i konserwatystką; któż to słyszał, by

w obecnych czasach nabywać obrazy takiego Matejki, to anachronizm! (do Solskiej). Czy pani już ten obraz oglądała?

SOLSKA. Nie jeszcze. (do Kazimieri). Gdzież on jest?

JULIUSZ. Obok w salonie; pani pozwoli, posłużę jej za Cicerona.

SOLSKA. Przyjmuję chętnie. (Zapala papierosa i podaje mu papierosnicę, wychodzą).

SCENA IV-ta.

STEFANIA, KAZIMIERA.

STEFANIA (chodzi nerwowo po pokoju). Cóż za przykry typ kobiety ta Solska, czyż takie mężczyznom podobać się mogą? omanecypantka, hipokrytka, przesadna.

KAZIMIERA. Takie Solskie najwięcej się mężczyznom podobają, moja droga. Przyznaj, że oryginalna. Ale wiesz co? Juliusz swoje strzały w tamtą kieruje stronę i powiem, że raz nareszcie słusznie trafił.

STEFANIA (opryskliwie). On się w duszy z niej śmieje, zapewniał mnie nieraz, że tego rodzaju kobiet nie znosi. *Ce n'est pas son type!*

KAZIMIERA. Do romantyczek wzdycha, do emancypantek szturm przypuszcza.

STEFANIA (na stronie). Zazdrosna — rozumiem! (głośno) Życzę mu powodzenia, wkrótce pozna się na tym blichtrze. Ale ja tu gawędzę, a dzisiaj raut; do widzenia *chere!* (wychodzi Solska z Juliuszem) do widzenia! (do Juliusza) *à tantôt* na raucie.

JULIUSZ. *Sans faute et à demain chez vous* (całuje ją w rękę. Stefania wychodzi).

SOLSKA. I ja zmykam. Twój Matejko drogi, cenny, *mais pas mon gout* wolę Manetów. (do Juliusza) Idziesz pan?

JULIUSZ. Służę pani! Mój biedny przyjaciel, cóż on powie! *que faire* towarzystwo pań, to usprawiedliwienie...

(Zegnają się z Kazimierą, która badawczo za nimi spogląda).

KAZIMIERA. Czyżby? (zbliża się do okna po chwili). Wsiadli razem, więc to była ukartowana schadzka?!... Przyjacieli — przyjaciółka, ha, ha, ha! Łudź się, Stefeczko, i wierz dalej mężczyznom. Potwory!

ZASŁONA SPADA.

Aras.



Choroby narodowe.



(Dokończenie).

IV.

Czwarty pierwiastek choroby narodów jest niestychanej wagi. Chcemy mówić o skażeniu obyczajowem, będącem najważniejszą, najpodstępniejszą, najniebezpieczniejszą przyczyną chorób narodowych. Przedmiot jest tak zawiły i złożony, że chcąc go drobiazgowo i po szczególe traktować, należałoby mieć więcej, aniżeli my mamy miejsca; ograniczymy się zatem na kilku wnioskach ogólnych. Naród, jakimkolwiek bądź jest, powinien powiększać się liczebnie, jeżeli nie chce ubywać i cofać się; powinien powiększać się nie tyl-

ko przez emigrację, ale przez naturalne odradzanie. Podstawową zasadą, dowiedzioną przez historię jest również, że rodzice nie tylko tyle powinni mieć dzieci, ile ich samych było. Drobiazgowo statystyki wskazują, że każde małżeństwo (przypuszczając, że każdy mężczyzna się żeni i każda kobieta za męża wychodzi), mieć powinno co najmniej czworo dzieci, ażeby zaludnienie ogólne nie zmniejszało się, a przynajmniej stało w miejscu. Fakt ten oparty jest na statystykach, obejmujących miliony dusz w Ameryce i Europie. Przyczyna prosta: śmiertelność dziecięca zabiera przynajmniej jedną czwartą ludności, tak, że z czworga dzieci zostaje troje, a są nadto wypadki niemocy, choroby, czyniące niektóre małżeństwa bezdzietnymi. Należy także liczyć na śmierć przedwczesną żony lub męża. Opierając się na tych wszystkich danych statystycznych, zauważymy w cyfrach okrągłych (nie posługując się ułamkami), że gdyby każda osoba wchodziła w związki małżeńskie i gdyby wszystkie małżeństwa miały czworo dzieci, naród stałby na miejscu, nie powiększając się ani nie zmniejszając. Zatem, stałe, naturalne odradzanie się, nie mówiąc o emigracji, powinno być przedmiotem stałych zabiegów, pod grozą upadku blizkiego.

Tak jednak nie jest w większej liczbie narodów. Statystyki, dotyczące szczególnie Francji i Ameryki, smutne są bardzo. Badając pilnie, porównać można Massachussets z niektórymi prefekturami środkowej Francji, gdzie jest widoczne zmniejszenie ludności po odtrąceniu emigracji. Byłoby tam dzisiaj pustkowie opuszczone, farmy zaniedbane, domy zamknięte, gdyby nie emigracja. Dlaczego? dlatego, że dla wielu przyczyn, które tutaj trudno zgłębiać, małżeństwo tam jest rzadkie, a jeżeli się zdarza, to najczęściej jest bezdzietne.

Jeden z wybitniejszych statystyków Anglii, Galloin w pracy, p. t.: „Influence du célibat sur la destinée des nations“, dowodzi, że doktryna celibatu duchowieństwa i życie zakonne wpływa ujemnie na przeznaczenie i pomysłowość narodu.

Po za obrębem narodów ucywilizowanych są także anormalne formy małżeństwa, doprowadzające do takich samych rezultatów. Etnologowie i antropologowie badają je z ciekawieniem i namiętnością, jak np. małżeństwa, gdzie mąż ma żon kilka, albo żona kilku mężów. Są to nieznane formy małżeństwa, istniejące w plemionach i narodach niższych, i pominiemy je tutaj milczeniem, zajmując się raczej tem, co dotyczy wielkich narodów współczesnych i ucywilizowanych. Ograniczenie urodzeń niesłychanie ważne, rozpowszechnione jest w Ameryce i Francji, a często spotykane także gdzieindziej. Na wyspie Formozie, świeżo nabytej przez Japonią, niesława przywiązana jest od niepamiętnych czasów do kobiety, mającej dziecko przed dojściem do lat 35. Rozpowszechniło się dzieciobójstwo pospolite również w Chinach. Przekładanie zabicia dziecka, aniżeli wychowania go, jest na Formozie i w Chinach chorobą życia narodowego, prowadzącą oba te narody do poddaństwa i do ruiny.

Istnieje także przedmiot podobnej natury

i podobnie wysokiego znaczenia, podjęty przez pewnego pisarza włoskiego, przy badaniu tak zwanych obecnie ras latyńskich i ras teutońskich. Wiemy, że położenie narodów latyńskich: Francuzów, Włochów, Hiszpanów, jest o wiele mniej pomysłne, od położenia ras teutońskich, reprezentowanych przez Anglię, Niemcy i Stany Zjednoczone. Świetny autor, Włoch, a zatem Latyn, zadaje sobie pytanie: jaka jest przyczyna stopniowej, a wzrastającej od dwóch wieków niższości narodów łacińskich i taką daje odpowiedź: Francuz lub Włoch większą część życia spędza na myśleniu o drugiej płci i na zadawaniu swych pożądań w tym kierunku; Niemiec i Anglik zajmuje umysł czem innem, myśli o interesach, o naukach, pracuje nad swoim zawodem i rzemiosłem, mózg jego nie jest zaprzątnięty temi innymi atrakcjami, w takim stopniu, jak mózg Francuza lub Włocha. „Ztąd wyższość Anglików i Niemców pod tym względem nad nami“ — mówi ów autor — „pracują nad tem, co stanowi ich pomysłowość indywidualną, a tem samem ich potęgę narodową. My zaś, myślimy głównie, aby się podobać drugiej płci i to nie tylko kobiecie, z którą jesteśmy legalnie połączeni, ale wszystkim kobietom w ogóle.“ Zmysłowości więcej, niż innym czynnikom, przypisuje współczesny upadek narodów łacińskich.

V.

Przedstawiliśmy w streszczeniu główne przyczyny tego, co możemy nazwać chorobami ciała narodowego. Choroby ducha narodowego wymagają obecnie naszej uwagi. Dzieli się na dwie klasy, z których jedna obejmuje choroby wrażeń, druga choroby intelektu. Stwierdzimy przedewszystkiem, że słabość intelektualna, niedołęztwo, jest właściwością wielu plemion niższych, jak np. mieszkańców Oceanii. Są oni również niezdolni do pojęcia argumentu logicznego, jak Mszy Świętej. Zetknięcie z cywilizacją jest dla nich zgubnem. Nie wiedzą, co z nią zrobić, nie mogą jej zrozumieć, nie można im jej wytłumaczyć i w rezultacie są wytępieni i umierają. Nie zupełna wina w tem białych.

To samo dzieje się z kryminalnością. Kiedy wysokiego stopnia dosięga, oznacza wyraźnie chorobę narodową. Zapyta ktoś: Cóż to jest kryminalność? Któż to jest zbrodniarz? Zbrodniarzem jest człowiek, który w egoistycznym celu chciałby zniszczyć w około siebie istnienie społeczne, warsztat społeczny, który go otacza. W egoistycznym celu, kładziemy nacisk na tym wyrazie, wiedząc dobrze, że to wyklucza z liczby kryminalistów dużą liczbę szlachetnych istot, zasądzonych i skazanych, jako takie. Kryminalistą jest człowiek, który w egoistycznym celu dąży do zburzenia gmachu cywilizacji i ludzkości przez całe pokolenia wzniesionego. Być może, że społeczeństwo samo tworzy zbrodniarza; być może, że jest to kwestya dziedziczności. My zajmujemy się tylko przyczyną choroby. Kiedy kryminalność jest szeroko rozpowszechnioną, z intencjami zniszczenia w brutalnym celu osobistego interesu, otaczającej cywilizacji, wtedy staje się chorobą narodową, która musi wywołać najstraszliwsze następstwa.

Weźmy obecnie złudzenia narodowe. Dziwnem jest istotnie, że nieraz tłumy całe dają się porywać złudzeniom, owładającym nimi fizycznie i umysłowo, zacierającym w nich wszelkie władze logicznego myślenia. Historia powszechna daje nam liczne przykłady narodów, narażonych na niebezpieczeństwa, nieraz doprowadzonych do zupełnej zagłady przez złudzenia. Niektóre złudzenia mają charakter religijny. Pewne narody zmarniały i zginęły dlatego, że wierzyły w przepowiednie i wróżby, że żywiły fanatyczną ufność w kierownictwo opiekuńczego bóstwa. Przed kilku laty złudzenie wywołało zagładę wspólnie 30-sto tysięcznej armii Kalifa, idącej naprzeciw Anglików z najzupełniejszą wiarą w zwycięstwo. Byliby je może odnieśli w obrębie murów: fanatyczna, religijna wiara zaprowadziła ich w dolinę i zginęli. Dużo podobnych mamy przykładów: filozofii złudzenie, między innymi, które poddało jarzmu Anglii tyle milionów istot ludzkich sprawia, że z 50,000 ludzi utrzymuje 50 milionów. Najgubniejszym złudzeniem wszystkich filozofii w Indjach jest religia. Ludzie ci nie wierzą w rzeczywistość istnienia. Wyobrażają sobie, iż rzeczywistość jest subiektywną, nie zaś obiektywną. Przekonanie to paraliżuje każdy ich czyn poważny w świecie rzeczywistym, przedmiotowym. Nazywają je sami *Molya*-złudzenie. Istnienie całe, życie całe, wszystkie czyny codzienne są dla ich filozofów, dla ich kaznodziejów, dla ich mistrzów, złudzeniem tylko. Anglicy mają inne zdanie i lepiej na tem wychodzą.

VI.

Istnieją następnie idee przewodnie. Dziwnem jest zaiste, do jakiego stopnia idee przewodnie prowadziły narody do celów różnych, niebezpieczeństwa, niekiedy śmierci. Jedne ożywione ideą podbojów i zwycięstwa poświęcały wszystko i osiągnęły: pogromy! Dla innych, jak np. dla starożytnej Grecji, ideą przewodnią będzie sztuka. Wszystko, co mieli, złożyli jej w ofierze, a Rzymianie tymczasem broń szykowali, organizowali legiony i Grecja ostatecznie stała się prowincją rzymską. Tak się dzieje stale, w ciągu całego biegu historii narodów. Szukając przyczyny zguby jakiego narodu, spostrzeżemy najczęściej, że ci, którzy nim kierowali, gonili za ideałem nieodpowiednim i niedostępnym.

Są również intelektualne choroby narodów, mianowicie wzruszenia narodowe, podniecenie nerwowe, podniecenia czuciowe, epidemiczna hysterya — narodów, że tak powiemy. Najwybitniejszym, najjaskrawszym po wsze czasy przykładem pod tym względem, są niezawodnie wojny Krzyżowe. Europa cała porwana została jakąś hysteryą uczuciową. Dzieci małe, lat sześciu, ośmiu i dziewięciu spieszyły, urządziły krucjaty, ciągnące się w ciągu dwóch wieków. Żadne prośby, perswazyje rodziców nie zdołały ich zatrzymać; odmawiały pożywienia, umierały z wycieńczenia, ożywione jedną ideą, przepotęzną: zawieszenia sztandaru krzyża w kraju niewiernych. Szał podobny porwał wszystkie narody Europy.

Były miasta, prowincye, gdzie w najświetniejszej epoce krucyat pozostawał jeden mężczyzna na siedm kobiet.

Podniecenie umysłowe, depressya umysłowa są również za dni naszych bardzo rozpowszechnionymi chorobami. Nazywają to niekiedy Jingoizmem. Francuzi posługują się mianem Szowinizmu, od imienia pewnego żołnierza Napoleona, odgrywającego główną rolę w „Soldat laboureur” Scribe’go. Powtarzał on ciągle: „Oh! gdyby Napoleon tutaj był, uczyniłby to, albo to!” Szowinista myśli zawsze, że kraj jego, i tylko kraj jego, nieś powinien sztandar cywilizacji i postępu. Patrzy na inne kraje z pogardą, pomieszaną z litością. Mniejsza, czy to będą ludzie wiedzy, pracujący nad mikrobami, czy żołnierze niosący swój sztandar, czy kupcy rozsiewający po świecie swoje reklamy. Wie, że naród, którego jest przedstawicielem, powinien zostać panem wszechświata. Można by zaliczyć do tej kategorii prawie wszystkie współczesne narody — a naród posiadający tę wadę musi być skazany na niechybną zagładę. Wyobrażając sobie, że umie wszystko, nie troszczy się o nauczanie czegokolwiek od innych i najlepsze odkrycia omija niedostrzeżone. Rezultatem tego jest narodowa choroba wzruszeń, wywołująca często fatalne następstwa.

Depressya, poniżenie narodowe jest wręcz przeciwnem. Istnieją narody, mające o sobie tak słabą opinię, że nie uważają się za równe żadnemu innemu. Dużo jest takich. Symons przytacza wzruszającą historję pewnego narodu, znanego dobrze przez archeologów pod mianem Wielkich-Greków w południowych Włoszech. Kiedy Rzym skierował wojsko swoje przeciw temu narodowi, poddał się z najzupełniejszą uległością przeznaczeniu i tylko raz na rok, zebrany w świątyniach, zanosił skargi do bogów na niemożliwość wybawienia. Fakt, że był beznadziejnie zrozpaczony, doprowadził go do zagłady szybkiej. Wypędzono wszystkich Greków z półwyspu, i jedynie szczątki ich sztuki świadczą dzisiaj o obecności tam kiedyś tych wielkich wychowawców i zwycięzców. Fatalizm mieszkańców Wschodu, wrodzone tchórzostwo Chińczyków pochodzą również, w pewnym znaczeniu, z narodowej depressyi.

Przedstawiliśmy tutaj krótki zarys narodowych chorób, trzymając się najzupełniej zdale od terapii i higieny tych chorób. Przedstawiają one szerokie pole do badania i znalazłoby się zapewne dużo osób, mających lekarstwa gotowe: taryfy celne, protektoraty, wolne wymiany i t. d., i t. p. Powtarzam: my zajmowaliśmy się tutaj tylko chorobami narodów, nie zaś sposobami ich leczenia.

Wł. Zaremba.



GOŚCIE.

(Z tematów karnawałowych).



— Ślicznie wypadły imieniny. Mieliliśmy gości wiele. Był ten naczelnik X., ma 3,000 rocznie!... Była pani Y. z córkami, miały wspa-

niałe suknie. A X-owa, jak była uczesana!... cudo świata!... Nadzwyczaj miła osoba!

— Jakeśmy się bawili?... Wybornie! Wszyscy chwalili pączki. Na kolację daliśmy aż pięć dań z mięsa. Naczelnik X. dobierał zającą dwa razy. Młodemu baronowi smakowały kotlety, a sałata istne arcydzieło. Majonez był zamówiony, ale nie przyznaliśmy się; mówiliśmy, że w domu robiony. Siedzieli wszyscy do 4-ej rano.

— Jakto?... Zdaje się za długo. Kolacya rozpoczęła się o godzinie 9-ej, a skończyła o wpół do dwunastej, potem jeszcze wina, herbata, znów wina.

— Co pan chce? Ciągłe o czymś innem mówiono. Cóż to, nie był pan nigdy w towarzystwie i nie wie pan, o czem mówią? X-owa opowiadała o balu. Wszystkie panny pietruszkowały, a jej córki tańczyły bez przerwy. Professor dał Iziowi zły stopień za to, iż nie przyniósł zadania.

— Straszna rzecz! Zapomniane zadanie i tyle o to awantury. Młody baron spiewał przy fortepianie same francuskie piosenki: ślicznie wymawia w spiewie niektóre wyrazy! Starsza?... O! miła szczebiotka, ciągle mówiła. Każdą suknię, w jakich były panie na ostatnim balu, opisała ze wszelkimi szczegółami. Ona ma gust!... Jej oko tak chwyta rzecz każdą w ubraniu, tak zaraz oceni, zrozumie, co ma harmonię barw, a co jej nie ma, jest to prawdziwe oko artystki. O polityce? dajże pan pokój, jeszcze tego trzeba, aby się wlokła ta nudziarka za ludźmi do salonów, doś jej mamy w gazetach. Na zakończenie podano poncz, ale jaki!... nasze śliczne, nowego fasonu szklaneczki, wzbudziły zachwyt.

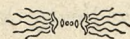
— Jakto? tyle było osób i żadna nie tchnęła ducha w to zebranie?

— Jak można być krytykiem bezlitosnym!... Czy pan myśli, iż towarzystwo zbiera się na to, aby myśleć nad szaremi, nudnymi tematami jakiejś tam niedoli, niewoli, sprawy społecznej?... Wszak goście przychodzą na to, aby zapomnieć o wszystkim, aby się pośmiać, rozweselić, aby czas spędzić z prawdziwą przyjemnością.

— Jedzenie i jedzenie. To trudno! O głodzie nikt się bawić nie będzie, zresztą obgadali, obsadzili, mówiliby najgorsze rzeczy, gdyby przyjęcie było mniej sute. Jak inni się sadzą, to i my musimy. Młodsza córka kokietuje, każdy widzi. No, udaje postępową! Naczelnik nadzwyczaj miły, ma 3,000 rocznie. Szkoda, że pan nie był...

Westchnąłem. Może i szkoda!...

Jan Świerk.



Przegląd teatralny.



Ciągłość protestów p. Zapolskiej. — Widmo. — Żyd wieczny tułacz. — „Credo” autorki „Ahaswera.” — Idea „Nieporozumienia.” — Jednostronność sztuki. — Brak światła. — Moc jednej sceny. — Wartość utworu. — Ostrzeżenie.

P. Gabryela Zapolska przez cały ciąg dość już długiej i obfitej działalności autorskiej pisze ustawicznie protesty przeciwko mężczyznom. Są to protesty, których nikt nie uwzględni, bo życie i jego prawa toczą się

odwieczną koleją rozwoju, pędząc naprzód i porywając z sobą wszystko po drodze; P. Zapolska powinna była dotąd osiąść tyle doświadczenia, mając myśl tak bystrą i wyobraźnię tak bujną. Tymczasem, choć jest wychowanką epoki pozytywizmu, choć się mieni, czy mieniła, nieodrodną córą realizmu, wciąż odrywa się od rzeczywistości i przedstawia obrazy, pozornie tylko malujące prawdę.

Przed „duszą” p. Zapolskiej (o tej duszy lubi ona często wspominać), stoi zawsze straszne widmo, któremu na imię „mężczyzna.” P. Zapolska niecierpi tego widma, pogardza nim i nie szczędzi mu przezwisk często nader „wymownych.” Ale się tem widmem bez przerwy zajmuje. Nieraz ów „Mężczyzna” podobny jest w tej pseudo-walce z fantazją p. Zapolskiej do tego przysłowiowego obrazu, który „do chłopca nie przemówił ani razu.” A choć się p. Zapolska gniewa, choć rzuca słowa pełne gorczy i jadu, „Mężczyzna,” kamiennie spokojny, znosi wybuchy złośliwej niewiasty, pewny, iż po burzy nastanie pogoda.

Nie wiem, jaki jest „ideał mężczyzny” p. Zapolskiej, bo się pod tym względem wyraźnie nie wypowiedziała jeszcze; nie wiem wogóle, czy dla niej są możliwi mężczyźni — ludzie na świecie, — to pewne, że te istoty męskie, które p. Zapolska w powieściach, a zwłaszcza na scenie, z zamiłowaniem przedstawia, do ludzi nie bardzo są podobne.

Jeżeli sięgniemy pamięcią do epoki dawniejszej, do czasów „Małazki,” „Kaśki-Karyatydy,” już wówczas mężczyzny — człowieka, wśród galeryi p. Zapolskiej nie zdołamy się doszukać. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę utwór z dopiero co minionej doby, np. „Ahaswera,” to napotykamy w nim dobitnie sformułowane *credo* p. Zapolskiej. Wierzy ona niezachwianie w zdradę i podłość mężczyzny, w jego grzech popełniany wiecznie, w jego nikczemność, wierzy w podstępny charakter i zepsucie jego woli, wierzy, jednym słowem, w złego ducha, wcielonego w postać i naturę mężczyzny.

Dla niej, mężczyzna, jest to Żyd wieczny tułacz, *Ahasverus*, wędrujący ze wschodu na zachód, z północy na południe, zawsze głodny, gotowy do pożarcia... kobiety. Byłoby to śmieszne, gdyby nie było — smutne. A smutne to jest dla tego, że do takiej filozofii doszła utalentowana kobieta, której pióro mogłoby szare życie ludzkie ubierać w kwiaty, pełne barw i woni.

I gdyby p. Zapolska czuła istotnie „po kobiecemu,” gdyby była *kobietą* w całym słowa tego znaczeniu, cel dla swej twórczości pisarskiej znalazłaby nie w gromadzeniu oskarżeń, nie w protestach, ale w usiłowaniu sprowadzenia „nieba na ziemię.”

Takiem niebem na ziemi powinna być dla mężczyzny ukochana kobieta; dla p. Zapolskiej jednak mąż jest piekłem dla żony. To piekło delikatnie nazywa się w ostatniej komedii autorki „Ahaswera,” świeżo wystawionej w teatrze Rozmaitości — „Nieporozumieniem.”

W tem piekle nie chodzi wcale o przebieg dramatyczny wypadków, o rozwój akcji, o sztukę, w „Nieporozumieniu” idzie p. Zapolskiej o wytoczenie nowych oskarżeń przeciwko mężczyznom. Dla tego sztuka jest jeżeli nie zupełnie złą, to w każdym razie znacznie od „Ahaswera” gorszą. Autorce nie dopisało natchnienie, brakło jej nawet gliny prostej do ulepienia kilku żywych postaci; zamiast dramatu, powstał przewlekły dyalog prokuratorski z zahypnotyzowanymi przez nią skazańcami. „Mężczyzna” występuje tu, jako tyran, samolub, brutal, bez mała zwierzę (Ryskiewicz), jako pozornie delikatny dekadent, w samej zaś rzeczy podstępny, chytry niepoń, (Korski). Ofiarą tych hultajów jest bohaterka sztuki, Jadwiga, która, nie wiem z jakiego po-

wodu, nie idzie śladem Rózi „wyzwolonej“ z pod jarzma małżeńskiego.

Ta Rózia szybko załatwiła się z „nieporozumieniem.“ Powiedziała sobie tak: „życie jest zbyt krótkie, aby je chmurzyć samochcą,“ — i rzuciła męża, wstępując „odważnie“ w ten świat, gdzie już żadnych „nieporozumień“ niema, i ciesząc się z tego „świata“, jakie na nią w tej sytuacji spływa.

Musiał tam w głębi duszy, tej prawdziwej, niewieściej duszy Jadwigi, spoczywać jakiś ciężar gatunkowy cnoty, musiało tam być coś z anielskiej czystości zacnej natury kobiecej, skoro pokusa nie sparaliżowała jej woli i powstrzymała od upadku.

Ten głos szczerej czystości i dumy niewieściej odezwał się u p. Zapolskiej raz jeden w „Nieporozumieniu“, ale bardzo silnie i bardzo pięknie. Ta jedna scena okupuje dużo błędów i zaniedbań, popełnionych w sztuce. Jest to moment wielkiego napięcia dramatycznego, szlachetny w swym nastroju i porwijącej mocy.

Korski zdołał pozyskać zaufanie Jadwigi, która się przed nim zwierza ze swych smutków rodzinnych. Chce ona go uczynić przyjaciół, druhem, zdolnym do odczucia jej bólu. P. Zapolska mogła tu być stworzyć prześliczny typ mężki, któryby był zrównoważył jednostronność charakteru Ryskiewicza i nadał sztuce piętno prawdy i wyższego poziomu moralnego. Gdyby Korski był odpowiedział zaszczytnemu zaufaniu Jadwigi, gdyby szczerem uczuciem braterskiego wylania odplacił tej kobiecie za jej pocziwy zwrot ku niemu, byłby urósł na bohatera sztuki i ocalił jej wartość, byłby przytem zajął stanowisko nowe i godne kulturalnego człowieka.

Ale byłby splotał p. Zapolskiej ogromnego figla, zmuszając ją do odwołania wszelkich względem mężczyzny insynuacji. Na to autorka żyda wiecznego tułacza „Ahaswera“, pozwolić nie mogła. Wszystko — byle nie to! Więc każe Korskiemu obelgą odplacić Jadwidze za jej szczerość. Po niewczasie dopiero Korski poznaje brutalność swego kroku, i prosi obrażoną kobietę o przebaczenie. Jadwiga w sercu zamyka urazę i cierpienie, zdobywając się jeszcze na taką odpowiedź:

— Przebaczam, ale nie zapomnę...

O ileż sztuka p. Zapolskiej miałaby głębsze znaczenie społeczne i o ile szlachetniejszy wpływ wywarłaby na publiczność, gdyby obok brutalnego mężczyzny, stał inny człowiek, o myśli czystej i sercu prawem. Wtedy darowalibyśmy autorce wszystkie jej kalumnie, jakie na ród mężki rzuca, wtedy bylibyśmy jej nawet za ostrą krytykę złych instynktów naszych wdzięczni, bo widzieliśmy w jej oburzeniu dobrą wiarę i pobudki szlachetne.

Po za tem czuję się w obowiązku jeszcze zaznaczyć, że jakkolwiek ostatnia sztuka p. Zapolskiej dość dyskretnie traktuje pewne drażliwości, nasuwające się w dyalogu i sytuacji, to jednak jej technienie nie jest zdrowe dla wyobraźni dziewczęcej, której jak kwiatu strzeżmy przed atmosferą mrozną, mogącą go zwarzyć...

Adam Dobrowolski.

Kronika działalności kobiecej.

— Francya. Przyrost studentek w uniwersytetach we Francji, jest w ostatnich czasach niewielki. Podług urzędowych wykazów za rok zeszły, t. j. ubiegły, w uniwersytetach francuskich liczba studentów, na poszczególnych fakultetach, wynosiła: na wydziale prawnym 10.580 studentów, w liczbie tej

34 kobiet, 13 francuzek i 21 cudzoziemek; na wydziale medycznym 7434 studentów, w tem 489 kobiet; na farmaceutycznym 3138 studentów, w tem 81 kobiet, 80 francuzek i 1 cudzoziemka; na filozoficzno-historyczno-filologicznym (*lettres*) 3821 studentów, 516 kobiet; na matematycznym i nauk przyrodniczych (*sciences*) 4340 studentów, wśród nich 165 kobiet, 55 francuzek i 100 cudzoziemek. Ogółem więc uniwersytety francuskie liczą 29.313 studentów, 26.586 francuzów i 1492 cudzoziemców, 727 francuzek i 508 cudzożimek. Jeśli doliczymy studentów specjalnych szkół medycznych i farmaceutycznych, oraz wyższych zakładów naukowych w Algierze, otrzymamy następujące cyfry: ogółem studentów 31.277, wśród tych: 28.401 francuzów, 831 francuzek i 508 cudzożimek.

— Londyn. Sprawozdanie z działalności stowarzyszenia „Women's Cooperative Guild“, są wymownym dowodem, jak wiele, tego rodzaju, dobrze zorganizowane stowarzyszenie, zdziałać może. Członkinie tego stowarzyszenia, opiekujące się nędzą w najrozciąglejszym tego słowa znaczeniu, odwiedzają biedaków, ludzi upadłych moralnie, przemawiają do serc najbardziej zepsutych, wyciągają i ratują dzieci z otoczenia przesiąkniętego fizycznym i moralnym brudem, bądź to umieszczają je w ochronkach, bądź w szkołach dla służ, lub rękodzielnicy. Matki z niemowlętami umieszczają w przytułkach, zdrowym dając pracę, za którą pracownice dostają czysty kąt, zdrowe odżywianie, odzienie, a często i drobną zapłatę. W przytułkach przyjmują też roboty z miasta. Członkinie stowarzyszenia, odwiedzające biedaków, nazywają się „friendly visitors“ (przyjacielscy goście) i rzeczywiście postępują z nędzarniami z nieopisaną dobrocią i wyrozumiałością, które więcej nierównie zdziałać mogą niż hojne, dorywcze ofiary.

Jest to rodzaj higieny społecznej, o której wiele myślał i pisał ks. Kirchner i chociaż nie rozporządzamy takimi środkami, jakimi rozporządza stowarzyszenie angielskie, wiele jednak pań, rozporządzających znaczną ilością czasu, nieocenione usługi oddałyby mogło społeczeństwu, pomagając ks. Kirchnerowi w czynieniu dobrze, choć w takim zakresie, na jaki nas stać w tej chwili.

Z. S.

Nasz ul.

— „Wieczory Rodzinne“, tygodnik ilustrowany dla młodzieży, doczekały się obecnie roku jubileuszowego, rozpoczynając 25-ty rok istnienia.

Poważny to okres pracy dla każdego organu, a zwłaszcza dla pisma pedagogicznego, które wychowało kilka pokoleń i rozszerzało swój wpływ pożyteczny i życiodajny, bo oto widzimy, że w ciągu tego czasu, pismo wzrosło, rozwinęło się i rozszerzyło i dziś liczy już wielu czytelników, oraz starszych zwolenników, którzy wdzięczną pamięcią je wspominają.

W artykule od Redakcyi przypominano nam dzieje powstania i założenia tego wydawnictwa w r. 1879-ym z inicjatywy trzech kobiet: Julii Zaleskiej, Maryi Zielińskiej i Ludwika Hauke. Wszystkie trzy, ożywione najlepszymi chęciami, z przygotowaniem pedagogicznym przystępowały do redagowania „Wieczorów“, aby młodocianym czytelnikom zapewnić nie tylko miłą rozrywkę, lecz „aby kształcić ich dusze, rozbudzać umysły, zachęcać do samodzielności i nauki, utrwaląc poczucie obowiązku względem społeczeństwa, zamilowania do pracy i ładu.“ Z taką wzniosłą ideą przewodnią przystępowały do swego obywatelskiego zadania i spełniały je w ciągu długich lat z powodzeniem. W szeregu współpracowników byłych i obecnych jaśnieją imiona pierwszorzędných literatów i literatek, którzy piórem swem zasilali organ młodzieży poświęcony.

Zakres pisma powiększył się z czasem, zaprowadzono podział na dwie części, przeznaczając jedną dla starszej mło-

dzieży, drugą dla dzieci do lat dziesięciu. Nadto od lat kilku ukazuje się tygodniowo bezpłatny dodatek książkowy, który tworzyć będzie biblioteczkę dla młodzieży.

Wszystkie poszczególne działy: poezya, literatura, historia, nauki przyrodnicze, geografia, podróże, ważniejsze odkrycia, wypadki i wiadomości bieżące, znajdują swe odzwierciedlenie w sumiennych i starannych artykułach, opracowanych przez specjalistów.

Podnieść należy także noworoczny numer „Wieczorów“ ozdobnie wydany, w którym na naczelnem miejscu widnieje wiersz Deotymy: „Do młodocianych Czytelników i Czytelniczek“, dalej artykuł przyrodniczy Edmunda Jankowskiego „W kółko“, oraz powieść historyczną p. t. „Pisepole“, przez Włodzimierza Trapezyńskiego.

Sympatycznemu temu i ze wszelkich miar na poparcie ogółu zasługującemu wydawnictwu, życzymy powodzenia i rozwoju w dalszej pracy.

—gt.—

— Ludzie, dla których warunki bytu stają się coraz cięższe do zdobycia, zwracają częściej myśl swą ku śmierci i zabezpieczeniu własnego pogrzebu, aby chociaż ciała zapewnić należyty wypoczynek, skoro go w życiu tak mało zaznali.

Temu zapewne przypisać należy, że w stosunkowo krótkim czasie, powstaje w Warszawie trzecia z rzędu Kassa Pogrzebowa, zatwierdzona przez J. W. Ministra Spraw Wewnętrznych, obejmująca 1,500 uczestników pełnoletnich, bez różnicy płci i wyznania, bez ograniczenia wieku, uznanych za zdrowych przez stałego lekarza Kassy.

Rodzina zmarłego członka lub osoba przez tegoż w deklaracji wskazana, otrzymuje w przeciągu 24-ch godzin od chwili śmierci, sumę 1,500 rubli w gotówce, po złożeniu aktu zejścia, bez żadnych dodatkowych formalności.

Oplata przy wstąpieniu do Kassy wynosi:

a) Wpisowe na urządzenie i administrację Kassy rb. 1.
b) Na fundusz zapasowy (na trzy wypadki śmierci) rubli 3;

c) Normalna bieżąca pierwsza składka rb. 1 kop. 10.

Oplaty pod pozycjami a) i b) są *jednorazowe*. Z pozości c) kop. 10 na utrzymanie biura Kassy.

Na każdy następny wypadek śmierci składka wynosi rb. 1 kop. 10.

Zapisy przyjmują się w biurze Kassy, ulica Żórawia № 49, w godzinach od 10-ej do 2-ej i od 5-ej do 7-ej po południu.

— Oddział Wyszukiwania pracy dla ubogich, przy Warszawskim Towarzystwie Dobroczynności, przeniesiony został do środka miasta, na ulicę Smolną pod № 34 (telefonu 3,188). Wielkie to udogodnienie dla pracodawców, łatwiej bowiem udać się do Biura, a zarazem i korzyść dla biednych pracowników, gdyż prędzej mogą znaleźć dla siebie zajęcie. Wobec tego wszelkie zapotrzebowania przyjmowane będą tylko przy ulicy Smolnej.

— Złożono w Administracji naszego pisma dla bardzo chorej na płuca nauczycielki z matką sparaliżowaną:

Ap. Ol...ski „ziarnko do ziarnka“ — kop. 10.

Treść numeru:

Brzydkie kobiety, przez Z. N. — Wnuczka (nowella), przez Halinę Adę. — Zmrok (wiersz), przez Bożymira. — Pamiętnik młodości Danta Alighieriego, przez Wł. N. — Nasz kwestyonarysz macierzyński (ciąg dalszy). — Ellen Key: Przyozdabianie domu, tłóm. Berta B. — Potwory, pastel sceniczny, przez Arasa. — Choroby narodowe, przez Wł. Zarembe (dokończenie). — Goście (z tematów karnawałowych), przez Jana Świerka. — Przegląd teatralny, przez Adama Dobrowolskiego. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz trzeci powieści „Miłość moim grzechem.“ w przekładzie z francuskiego M. Laganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 26). — Pogawędka gospodarska. — Przepisy kuchenne, oraz Tablica krojów.



BARDZO WAŻNE DLA MATEK!!!

ŚLYNNA MACZKA NESTLÉ'A

dla dzieci od wielu lat powszechnie uznana jako najlepszy środek odżywczy i dodatek do pokarmu, obecnie sprowadza się

TYLKO w PUSZKACH HERMETYCZNIE ZALUTOWANYCH,

bezwzględnie chroniących Maczkę od szkodliwych wpływów atmosferycznych w drodze i od przykrych zapachów aptecznych. Maczkę Nestlé'a nabyć można w składach aptecznych i aptekach.

Na każdej puszcze powinna znajdować się etykieta z moją firmą i szwajcarskim krzyżem na błękitnym tle.

Generalny Agent na Królestwo i Cesarstwo

DOM HANDLOWY

„ALEKSANDER WENZEL” W PETERSBURGU.

Kwiaty balowe

kwiaty do koszy i żardinier

Girlandy ślubne

poleca w wielkim wyborze

Fabryka sztucznych kwiatów i liści

Władysława Różyckiego

Wspólna 44, róg Marszałkowskiej.

C. LESKI

Marszałkowska № 143, — 1-sze piętro front.

**ZAKŁAD KARBOWANIA
i PLISOWANIA FALBAN, SUKIEN
i KORONEK,**

Karbowania fantazyjne, najnowszych deseni. Plisowania przeszło lókieć szerokie. Wycinanie przeróżnych ząbków maszyną. Wykonanie staranne i prędkie.



„Kuryer Codzienny“

Pismo Społeczno-Literacko-Polityczne

pod redakcją **STANISŁAWA LIBICKIEGO.**

W roku przyszłym drukować będzie słynne

KRONIKI TYGODNIOWE BOLESŁAWA PRUSA

tegoż autora:

KARTKI Z PODRÓŻY.

Od Nowego Roku „KURYER CODZIENNY“ drukować będzie nadzwyczaj interesującą powieść społeczno obyczajową na tle stosunków żydowskich p. t.:

ŻYDZI

napisaną przez **Michała Muttermilcha** znanego estetyka i nowelistę zamieszkałego w Paryżu.

Jako

PREMIUM BEZPŁATNE

„KURYER CODZIENNY“ da **12 TOMÓW** (120 arkuszy) najcenniejszych utworów literatury swojskiej i zagranicznej, między innymi znakomitą powieść **T. T. JEŻA USKOKI,**

MAURycego MOCHNACKIEGO

O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU.

Wybór pism **LUDWIKA SZTYRMERA** p. t.:

„**Powieści nieboszczyka pantofla,**”

PAWŁA BOURGETA p. t.:

CICHA WODA i inne.

Cena prenumeraty: W WARSZAWIE: Rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 50. NA PROWINCYI z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4 kop. 50, kwartalnie rb. 2 kop. 25. — Za odnośnienie do domu kop. 10 mies.

ADRES: **Krakowskie Przedmieście Nr. 17.**

Wydawca: **Piotr Laskauer.** — Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

ROMANSE

SENSACYJNO-KRYMINALNE

po cenach **ZNACZNIE ZNIŻONYCH** poleca **Księgarnia**

A. H. KLEINSINGER

w WARSZAWIE, ulica Ś-TO KRZYSKA Nr. 1.

DWIE SIEROTY czyli **DOROŻKA № 13** romans kryminalny

przez **KSAWEREGO DE MONTEPINA**

w 6-ciu tomach. Cena pierwotna rb. 3 k. 40, niż. na rb. 1 k. 25, z przes. rb. 1 k. 50.

MILION romans paryski

przez **J. CLARETIE'GO.**

Cena pierwotna rub. 1 kop. 20, niżona na 50 kop., z przesyłką kop. 75.

TAJEMNICE PARYŻA romans sensacyjny

przez **EUGENIUSZA SNE'GO**

w 9-ciu tomach. Cena pierwotna rb. 4 k. 50, niżona na rb. 1 k. 50, z przesyłką rb. 2.

Wypisujący zaś powyższe trzy dzieła razem, płacą za kosztą przesyłki **TYLKO 50 kop.**

33 NOWY-ŚWIAT 33

SKŁAD PAPIERU

Edwarda Teodorkowskiego

poleca wielki wybór papierów listowych krajowych i zagranicznych. **Albumy do kart pocztowych, karty pocztowe, wizytowe, oraz wszelkie roboty drukarskie i litograficzne.**

Sanatogen

Środek wzmacniający nerwy i zasilający organizm
u dorosłych i dzieci.

Prawdziwy tylko **Bauera i Ski** w opakowaniu rosyjskiem.

Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw.

Broszury na żądanie bezpłatnie.

S. Karczewski, Warszawa, Nowo-Senatorska 4.

III-ci rok wydawnictwa

Wychodzi dwa razy na miesiąc, objętości 96 — 112 str. wiel. form.

Biblijoteka Samokształcenia

Zawiera artykuły popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin nauki; w dziale książkowym: dzieła i studia obszerniejsze.

Wyszedł № 1. Zawiera: **Od redakcji** — St. Kucharskiego; **Nauka a natchnienie** — D. ra Piotra Chmielowskiego; **Pierwsza kartka historii religii** — Ign. Radlińskiego; **Eug. Dühring** — D. ra H. Höffdinga.

W dziale książkowym: **Wyższe wykształcenie kobiet, a współczesna nauka uniwersytecka** z dodaniem uwag **O zasadach przewodnich samokształcenia i samokierownictwa duchowego** — D. ra Eug. Dühringa.

Biblijoteka ogłosiła konkurs 500 rublowy dla prenumeratorów na wybranie „złoty myśli“ zawartych w dziełach wysłanych w Biblijotekę. **Termin 14-go Września.** Komplet Biblij. Sam. z 1903 roku do nabycia jeszcze po cenie redakcyjnej.

Z roku 1902 komplety są już wyczerpane.

Pojedyncze książki do nabycia w księgarniach.

Prenumerata: rocznie 6 rb., półrocz. 3 rb., kwart. 1.50 rb.; z przesyłką: 8 rb., 4 rb., 2 rb.

Dla kształcącej się młodzieży 50 kop. miesięcz. w miejscu.

Redakcja: **NOWY-ŚWIAT 37.**